Nr. 38. **PRACA** Rok III.

Dodatek handlowo-przemysłowy i rolniczy.

Urzędowy organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek.

Telefon Nr. 295. *Właściciel i Wydawca: Marcin Biedermann.* Adr. tel.: „Praca" Posen.

Wszelkie korespondencye należy adresować: „Do Redakcyi „Pracy" w Poznaniu, Rycerska ulica Nr. 38.

Schultze z Delitzsch.

W burzliwym 1848 roku i następnych latach zrodziło się dużo projektów, mających na celu polepszenie bytu klas roboczych. Charakterystyką ich jest wrogie stanowisko, zajęte względem kapitału i żądanie od władzy państwowej pomocy w walce pracy z kapitałem.

Z inicyatywy Ludwika Blanca, powstały w Paryżu państwowe warsztaty narodowe, które w ciągu trzech miesięcy kosztowały przeszło 14 milionów franków i w końcu musiały uledz zamknięciu.

Podobny eksperyment chciał zrobić w Niemczech Ferdynand Lassale, żądając od rządu pruskiego 100 milionów marek na założenie robotniczych stowarzyszeń produkcyjnych.

Na przeciwległym biegunie stanął Herman Schultze, od rodzinnego swego miasta Delitzsch, które zarazem było i kolebką jego działalności, Schultzem-Delitzsch zwany. Jako wierny uczeń liberalnej szkoły ekonomicznej, widzi on możność pogodzenia pracy z kapitałem, zaleca czynienie starań o przyciąganie kapitału na użytek pracy ludowej. Jest stanowczo przeciwny szukaniu uniwersalnego lekarstwa na wszelkie dolegliwości społeczne w państwie, sięganie bezustannie do kasy skarbowej po pieniądze na demoralizujące wsparcia dla tych, którzy dźwignąć się mogą o własnej sile.

Punktem archimedesowym systemu Schultzego z Delitzsch jest stowarzyszenie. „Wiele drobnych sił, powiada on, po połączeniu staje się wielką potęgą. Czego nie można samemu dokonać, do tego trzeba z innymi się łączyć. Jest to prosta, prastara zasada, na której polega stowarzyszenie, jej zastosowaniu ludzkość zawdzięcza od początku historyi mnóstwo dzieł potężnych".

Od roku tedy 1849 rozpoczyna Schultze-Delitzsch skrzętną pracę około budowy wielkiego gmachu stowarzyszeń ludowych.

Od chwili założenia pierwszego stowarzyszenia mija właśnie lat pięćdziesiąt i z tego powodu w Berlinie odbył się świeżo zjazd związku niemieckich stowarzyszeń roboczych i gospodarczych, opartych na własnej pomocy. Ze zjazdem była połączona uroczystość odsłonięcia w Berlinie pomnika tego wielkiego filantropa, i z tego powodu będzie na czasie krótkie o nim wspomnienie:

Hermann Schultze urodził się dnia 29 sierpnia 1808 r. w miasteczku Delitzsch, niedaleko Lipska, gdzie ojciec jego był burmistrzem. Pierwsze wychowanie odebrał w swojem mieście rodzinnem. — Na uniwersytetach w Lipsku i Halli poświęcał się naukom prawa od roku 1826 do 1829.

Po złożeniu drugiego egzaminu w roku 1833, pracował jako asesor przy sądzie w Berlinie. W r. 1842 został powołany na sędziego do rodzinnego swego miasta. Okręg Delitzsch wybrał go w roku 1848 deputowanym do zgromadzenia narodowego w Berlinie. Tu studyował kwestyę społeczną, z pierwszej ręki, bo z 1600 podań i próśb, które ze wszystkich stron Niemiec nadchodziły.

Przekonał się zatem na własne oczy, że odosobniony rzemieślnik jest zazwyczaj bezsilny i że połączenie rozdzielonych drobnych sił w stowarzyszenia, działające wspólnie na podstawie własnej pomocy, własnej odpowiedzialności i wzajemności jest jedyną drogą, prowadzącą rzemieślników do osiągnięcia kapitału, tej tak ważnej, obok oświaty i moralności, dźwigni przemysłu.

Gdy w r. 1848 zgromadzenie narodowe w Frankfurcie rozejść się musiało, Schultze powrócił do miasta rodzinnego w celu praktycznego wypróbowania swoich pomysłów. Po r. 1848 urzędował przez jakiś czas jako sędzia powiatowy we Wrześni w Poznańskiem. W dwa lata później powrócił znów do Delitzsch i poświęcił się wyłącznie zabiegom o rozwój stowarzyszeń oszczędnościowych. Na zasadach, podanych przez Schultzego, powstało niebawem w Niemczech tysiące stowarzyszeń, które rozpowszechniły się po wszystkich miastach i z czasem ogromne przybrały rozmiary.

Gdy wskutek wypadków, Schultze obaczył się nagle pozbawiony urzędu i utrzymania, wolny od wszelkich obowiązków, poświęcił od tej chwili wszystkie swoje siły zadaniu dźwigania stanu rzemieślniczego z nędzy, zależności i upokorzenia.

Osiadł stale w Delitzsch, aby tam przyczynić się osobistym współudziałem do rozkwitu założonego przez siebie niedawno stowarzyszenia rzemieślniczego i propagować mową i pismem zakładanie stowarzyszeń po całych Niemczech. Praca jego uwieńczoną została najpomyślniejszym skutkiem.

Na zasadach wytkniętych przez Schultzego, powstały w Niemczech tysiące stowarzyszeń, które rozpowszechniły się po wszystkich miastach i olbrzymie przybrały rozmiary.

W dalszym ciągu założył Schultze: Ogólny związek na samopomocy opartych niemieckich spółek, których liczba wzrosła do tysiąca. Pierwszym patronem tych spółek był Schultze. On to już pomyślał o rewizyi i wizytacyi spółek i do tego, co się dzisiaj dokonywa w rozwoju administracyjnym spółek, położył pierwszy kamień węgielny.

O tem, że Schultze-Delitzsch bezinteresownie pracował dla swej idei, świadczy wymownie okoliczność, że gdy zwolennicy i czciciele jego zebrali w roku 1853, drogą dobrowolnych składek, kapitał wynoszący 150,000 marek, w celu złożenia narodowego podarunku mężowi, który zaskarbił sobie nieśmiertelną zasługę w podźwignięciu niemieckich klas roboczych, Schultze nie przyjął ofiarowanego sobie kapitału i dopiero na usilne nalegania, przyjął drobną cząstkę złożonej ofiary na zakupienie kawałka gruntu, a przeważną większość ofiarowa-

nych sobie pieniędzy przeznaczył na cele towarzystw spółkowych.

Schultze zmarł 9 kwietnia 1883 r.

Według zestawienia, dokonanego w r. z., obecnie istnieje w Niemczech 1571 spółek do związku należących, a pomiędzy niemi 862 spółki pożyczkowe, liczące razem 497,111 członków. W r. z. wypożyczono członkom z kas spółkowych około dwóch miliardów marek. Na każde sto członków przypada 32 rzemieślników i 32 rolników; reszta rekrutuje się z różnych zawodów. Spółek spożywczych należało do związku 512 z 431,430 członkami. Do związku należy także 56 spółek budowlanych, które w r. z. wybudowały 182 domy z 1400 mieszkaniami. Do związku należy tylko część spółek, obliczono bowiem, że ogółem w Niemczech istnieje 17,000 spółek, na zasadach Schultzego z Delitzsch opartych.

S. P.

Kredyt wekslowy.

Kredyt przejawia się w najróżnorodniejszej postaci, lecz najczęściej występuje w formie wekslu.

Przemysłowiec, wznoszący fabrykę, już rad posługuje się wekslem w celu zwiększenia własnego kapitału. Za sprowadzone maszyny niechętnie płaci gotowizną i napewno odda pierwszeństwo tej fabryce machin, która zadowoli się zaliczką, a na resztę przyjmie weksel, później płatny. Lecz z drugiej strony, tenże przemysłowiec już z chwilą wyprodukowania pierwszej partyi towaru sam zmuszony jest przyjmować weksle zamiast gotowizny. Inaczej nie znajdzie kupców, którzyby zajęli się sprzedażą jego towarów, nie rozszerzy pola zbytu. Dopiero pieniądze publiczności, nabywającej towary za gotówkę, pozwalają najpierw detaliście wykupić weksel od hurtownika, temu od przemysłowca, aż dojdą i do fabryki machin. Lecz być może, ani ta ostatnia, ani nasz przemysłowiec nie mogą czekać do czasu rozkupienia towaru przez publiczność; gotówka zaś obydwom potrzebna w celu dalszej produkcyi, kupna materyałów surowych, opłaty robocizny i t. d. Gotówkę potrzeba zdobyć koniecznie, a zamiast zaciągać nowe zobowiązania, lepiej odstąpić obce względem siebie osobie trzeciej: sprzedać posiadane weksle.

Otóż właśnie skup takich weksli stanowi najżywotniejszą operacyę czynną banków.

Operacya polega na otrzymaniu wekslu w zamian wypłaty dotychczasowemu posiadaczowi sumy wekslowej (waluty) po potrąceniu sumy procentu za czas brakujący do terminu płatności. — Suma obliczonego procentu zowie się dyskontem, a wysokość jego — stopą dyskontową, jednakże w praktyce i tę ostatnią zowią dyskontem.

Weksle skupowane przez banki, muszą być dla większej pewności opatrzone co najmniej dwoma podpisami. Warunek ten nie jest uciążliwym ze względu na to, że banki skupują tylko weksle kupieckie, t. j. powstałe z operacyi kupieckiej. Przykład powstawania takich weksli przytoczony powyżej, a z niego widać, że weksel zanim dojdzie do banku, przechodzi zazwyczaj przez kilka rąk, czyli, że zdobywa tyleż podpisów. W naszym przykładzie przemysłowiec, odstępując bankowi weksel, obowiązany jest złożyć na odwrotnej stronie swój podpis, stwierdzający fakt ustąpienia wszelkich praw do wystawcy (cesya). Weksel ten mógł już posiadać jedną cesyę hurtownika, który go otrzymał od detalisty. Im więcej na wekslu podpisów, im szybszy jego obieg, tem większą jego wartość (naturalnie nie nominalna, ale kredytowa), bowiem każdy żyrant (ustępujący weksel) jest prawnie odpowiedzialny za całą sumę wekslu na równi z wystawcą. W terminie płatności wekslu bank przedstawia go do zapłaty wystawcy w razie odmowy oddaje adwokatowi w celu sporządzenia urzędowego aktu — protestu i wówczas upomina się o zapłatę całej sumy wraz z kosztami protestu od ostatniego żyranta, zaś ten od następnego i t. d. Postępowanie prawne (uzyskanie listu wykonawczego od komornika) dla weksli kupieckich, w razie załączenia protestu, jest bardzo szybkie i prostsze, niż dla innych zobowiązań.

Jeżeli banki dyskontują także weksle z jednym podpisem, to ustawa zobowiązuje je do żądania zabezpieczenia na hipotece, lub zastawu w postaci towarów.

Skoro już podpisy na wekslu zostały uznane za dobre, sam weksel prawnie wypisanym, termin płatności zgadza się z ustanowioną normą, pozostaje do załatwienia najważniejszy czynnik operacyi skupu: oznaczenie stopy dyskontowej. W Banku Państwa stopa dyskontowa nie może być kwestyą sporną, jest bowiem publicznie ogłaszaną. Raz ogłoszona stopa obowiązuje aż do dalszej zmiany wszystkich dyskontujących w Banku Państwa weksle. Wysokość stopy dyskontowej zależy przedewszystkiem od normalnej w kraju stopy procentowej. Ta zaś jest wynikiem stosunków wytworzonych i zaoszczędzonych przez naród dóbr (kapitałów) do energii poszukiwania ich w celu dalszej produkcyi, czyli zależy od rozwoju ekonomicznego narodu. Sama ilość kapitałów krajowych jeszcze nie oddziaływa na stopę procentową, dopiero stosunek podaży kapitałów do popytu wpływa na jej ukształtowanie, obniża ją, lub podnosi, a zatem wytwarza niejako cenę użyteczności zaoszczędzonych kapitałów (dóbr) przy wytwarzaniu nowych.

Prawnik.

Pośrednictwo w handlu.

Tylko ludziom stojącym na niskim stopniu cywilizacyi może się wydawać, iż sprytem swym są w stanie zastąpić przemysłowca i kupca, ich wiedzę, sztukę i doświadczenie. To też dziecinnymi są zachwyty nad sprytem wszystko-wiedzów, którzy naprawiają zegarki i młocarnie, puszczają się na stawianie domów, biorą się do leczenia i robienia cudownych maszyn. Tylko na nizkim stopniu rozwoju cywilizacyjnego, gdy trudność komunikacyi między ludźmi zmuszała człowieka, aby zaspakajał sam rozmaite swoje potrzeby, było podobne wszystko-wiedztwo i wszystko-róbstwo usprawiedliwione. Zaspakajał je, bo musiał, ale rozwój rozmaitych gałęzi przemysłu, posuwał się też żółwim krokiem, nie mógł być tak potężnym jak dziś, gdy stał się udziałem specyalistów, którzy wysilają całą swą wiedzę i doświadczenie, aby w jednej tylko gałęzi przemysłu pracować. Jeśli więc dziś spotkamy przemysłowca, który gotów jest robić wszystko, to możemy być pewni, iż mamy do czynienia z fuszerem, który właściwie niczego nie umie, a dość niesumiennym, aby się podjąć wszystkiego. Jeżeli zaś sami dla siebie bez należytego wykształcenia fachowego, bierzemy się do spełniania pewnych zadań przemysłowych, pod pozorem, że nas to taniej kosztować będzie — to zazwyczaj doprowadzamy do lichego wyrobu i do większych kosztów — bo fuszerka była i będzie zawsze fuszerką.

Podobnie rzecz się ma i w zakresie handlu. Zbyt często spotykamy dziś ludzi, chwalących się tem, iż się obchodzą bez kupców. Sprowadzają sobie kawę z Tryestu, sukna na ubranie z jakiejś fabryczki berneńskiej, świece i mydło prosto ze Stockerau, wina z Bingen itd. — udają kupców dla siebie i dla sąsiadów w tem świętem przekonaniu, że mają wszystko i lepsze i taniej. Tymczasem wszystko to jest tylko fuszerka handlowa, która mogła do pewnego stopnia przybrać u nas szerokie rozmiary, bo w kraju, gdzie przeważna część handlu znajduje się w szalbierskich rękach, zdani jesteśmy zbyt często na łaskę i niełaskę niesumiennych kupców i własną fuszerką staramy się bronić od ich wyzysku.

Lecz na szerokim świecie, gdzie cywilizacya na wysokich i silnych spoczęła podstawach, stanął i handel bardzo wysoko, a posiłkując się specyalistami dzielnie wykształconymi i pojmującymi sumiennie zadanie pośrednictwa handlowego — wydał w nich potężną klasę społeczeństwa, kierującą niejednokrotnie jego losami i odwracającą wymierzane w nie ciosy.

Handel, t. j. same pośrednictwo między producentem a konsumentem, jest tam jedną z najsilniejszych podstaw bytu społeczeństwa, i wszelkie usiłowanie obejścia się bez kupca, musi być uważane za waryactwo lub dziecinną zabawkę.

Do jakiego stopnia specyalizują się dziś zajęcia w wielkim handlu, dość wskazać na Hamburg.

Potężne to miasto portowe przyczynia się najbardziej do przemysłowo-handlowej potęgi Niemiec, zdobywając wyrobom przemysłu niemieckiego coraz szersze targi światowe. Długi czas pozostawało ono przeważnie w niewoli Londynu i handlu angielskiego. Dziś, wyzwoliwszy się w znacznej części z tych stosunków, podniosło do tego stopnia bezpośredni wywóz niemieckich fabrykatów, że na wielu rynkach zagroziło przemysłowi angielskiemu i zmusza go do energicznych środków obrony.

Otóż w organizacyi handlu hamburskiego spostrzegamy trzy całkiem oddzielne ogniwa. Pracuje tam kantor fabryki, pośrednik t. j. ajencya handlowa i eksporter, zanim towar dostanie się

do hurtownego kupca, a następnie do detajlisty i konsumenta. O tem, żeby fabrykant sprzedawał bezpośrednio eksporterowi — nie ma wcale mowy. Wszyscy eksporterowie są pod tym względem związani kartelem. Ktoby z pomiędzy nich czynił zamówienia wprost u fabrykanta, straciłby swe stanowisko na giełdzie towarowej. Eksporter zwraca się więc z swemi żądaniami do ajenta czyli pośrednika, który znów tylko w pewnej specyalnej gałęzi handlu pracuje. Transakcya odbywa się na giełdzie. Pod jednym filarem gromadzą się ajenci dla wyrobów tkackich, pod innym dla motorów, znów pod innemi dla artykułów konfekcyi, dla maszyn rolniczych itd. Eksporter udaje się do właściwej grupy ajentów — ogłasza, czego i w jakiej ilości mu potrzeba i żąda ofert. Zazwyczaj już w kilka godzin później otrzymuje zgłoszenia ofertowe, próbki i ceny, wybiera pomiędzy niemi, umawia cenę i termin dostawy — i transakcya handlowa ukończona.

Jakież przy niej korzyści?

Ajent handlowy jest specyalistą, a więc znawcą pierwszej klasy. Wyroby swego zakresu zna on na wskroś. Utrzymuje bezustanne stosunki z fabrykami tej gałęzi przemysłu w całej Europie, obznajamia się w lot z nowemi wynalazkami, zmianami i ulepszeniami produkcyi, odbywa podróże, zwiedza miejsca produkcyi, sprowadza wzory i utrzymuje składy wzorów, którėmi zapełnione bywają całe piętra domów hamburskich. Uczy się on bezustanku, ponosi koszta, aby znać swój fach najlepiej i módz jak najkorzystniej i najsumienniej usłużyć eksportowi. Powierzchowna znajomość i mydlenie oczu nic tu nie pomogą — bogata, szczegółowa wiedza i doświadczenie decydują o powodzeniu ajencyi handlowej.

Eksporter, zaspokojony co do zakupna towaru przez ajenta, musi znów posiadać znakomitą wiedzę i doświadczenie, co do miejsc i warunków zbytu. Musi to być geograf i etnograf skończony, musi znać zwyczaje, obyczaje, nawet obrzędy i wyobrażenia religijne krajów i ludów, z którymi handel prowadzi, musi znać ich charakter narodowy, ich prawa i sądy, ich monetę, stosunki pieniężne i kredytowe, ich smak artystyczny, ich sposób pakowania i handlowania na tuziny, grosy, setki, mendele, kopy, pary i t. d. Tylko przy takiej specyalnej znajomości stosunków może się puścić na wielki handel, może wiedzieć gdzie, co i jak zrobić, ażeby nie stracić a zyskać.

Fabrykant ze swej strony oblicza koszta i konjunktury produkcyi, aby wiedział, za co może towar sprzedać i jaki procent ajentowi bez straty odstąpić.

Czy na tem traci konsument?

Prawda, że towar, nim dojdzie do niego, przechodzi przez wiele rąk i każdy się w pewnym stopniu opłaca — lecz nie na darmo — bo jest on dla konsumenta nabyty co do jakości i ceny w najlepszych warunkach.

Ten haracz wielu rąk spada zresztą w handlu wielkim do jak najniższych procentów, aby dać już pośrednikom kolosalne dochody. Weźmy tu cyfry na pomoc. Do portu hamburskiego przybywa rocznie i odpływa około 9500 statków z rejestrowanym ładunkiem około 7 milionów ton a wartością blizko 3500 milionów marek. Dwa procent tej wartości to czyni już 70 milionów marek — dość zaiste, aby dać środki do utrzymania i majątek setkom i tysiącom ajentów!

Ale takie morze produktów i fabrykatów może zaprawdę tylko przy najściślejszym podziale pracy handlowej swobodnie i z największą dla wszystkich korzyścią falować.

* * *

Jeżeli odwrócimy się od tych wielkich horyzontów handlu i rzucimy okiem na własny kraj — możemy ujrzeć tylko fuszerkę i kramarstwo, żyjące z dnia na dzień bez znajomości stosunków wielkiego handlu, albo ciągnące zyski z szalbierstwa, które niestety stało się już głośnem w Europie. Szamocemy się wśród zamętu, który utrudnia lub udaremnia powrót do zdrowych i uczciwych zasad handlowych. Zalani komiwojażerami drobnych, walczących z życiem fabryk, widzimy tylko grę oszukujących i oszukiwanych, z których pierwsi wiedzą dobrze, iż mogą pieniędzy za towar nigdy nie zobaczyć — drudzy zaś nie znający się jak należy na towarze, a najczęściej nie mający wyobrażenia o najnowszych warunkach produkcyi, wiedzą z góry, że będą oszukani i dbają tylko o to, żeby jak najmniejszy haracz za swą nieznajomość rzeczy zapłacić. Fabryka wciska się sama już nietylko do kupców, lecz do domów, „hauzirując“ wprost ze swym towarem. Handel zaiste nierzetelny, który nareszcie topi we wspólnym zamęcie i wytwórcę i kupca i spożywcę.

W błędzie jest producent, który czyni formalną obławę na bezpośrednich odbiorców — jeszcze bardziej błądzi konsument, który szuka bezpośredniego stosunku z fabryką. Niema między nimi uczciwego, wykształconego i ciągle z rozwojem produkcyi obznajamiającego się pośrednika, nie ma kupca w prawdziwem tego słowa znaczeniu, któryby orzekając co towar wart, stał się uczciwym regulatorem cen targowych.

Są to odwieczne i jedynie zdrowe podstawy dla rozwijającego się przemysłu i handlu. Wytwórcą i handlarzem w jednej osobie być nie można — to fuszerka, która pierwej czy później produkcyę zabije. Do tych podstaw podziału pracy w obrotach produkcyi i handlu musimy i my w usiłowaniach przemysłowo-handlowego odrodzenia powracać.

J. Starkel.

Zioła lecznicze

rosnące u nas dziko i hodowane w ogrodach i na polach, ich zgromadzanie, suszenie i przechowywanie.

Opisał

Tadeusz Śniegocki.

(Ciąg dalszy.)

Czarnuszka ogrodowa.
Nigella sativa.

Korzeń drobny, rozłożysty, jednoroczny.

Łodyga gałęzista, do $^1/_2$ metra wysoka, zielona, miękka.

Liście podwójnie pierzaste, delikatne, soczyste.

Kwiaty na długich szypułkach umieszczone, nie mają kielicha; korona pięciopłatkowa, biała lub bladoniebieska, pojedyńcza. Kwitnie w maju i czerwcu.

Nasienie w torebkach, drobne, jajowookrągłe, czarne, używane do przypraw kuchennych i do wyrobu niektórych lekarstw; ma zapach miły, aromatyczny.

Zasiewać należy nasienie w początkach maja na ziemi ogrodowej, dobrze spulchnionej, nie zbyt gęsto. Gdy ziarno w torebkach zczernieje, zżynać całą roślinę, rozłożyć cienko pod murem, na południowe słońce wystawionym. Skoro cała roślina dobrze wyschnie, wymłócić ziarno, a oczyściwszy z plew, przechowywać w szczelnie zamkniętych puszkach blaszanych, i zaglądać często do wnętrza, aby nie zatęchło.

Dąb zwyczajny.
Quercus robur.

Pień drzewa tego dochodzi do znacznej wysokości i grubości, jest zwykle prosty, w młodości pokryty skórką gładką, popielato-szarą; im dąb starszy, tem kora jego staje się grubszą, chropowatą, popękaną, czasami na dwa palce grubą.

Młodą korę zdejmować trzeba dla aptek z młodych drzewek lub gałązek na wiosnę, najlepiej w maju, gdy soki krążyć zaczną. Zdjętą należy popruć w podłuż w wązkie paski, wysuszyć dobrze, pokrajać na grubą sieczkę i w blaszanych przechowywać puszkach, strzegąc zawsze od przystępu wilgoci.

Żołędzie zbierać zaraz skoro tylko z drzewa opadać zaczną, twarde i pełne brać do suszenia, rozkładać je pod dachem w suchem miejscu, strzedz od myszy, a gdy doschną dobrze, odstawiać do aptek.

Dziewanna wielka.
Verbascum thapsiforme.

Korzeń pionowy, gruby, trwały.

Łodyga prosta, nieraz do 2-óch łokci wysoka, drzewiasta, mocna, jednoroczna.

Liście podłużne, mięsiste, ostro zakończone, delikatną pilśnią pokryte.

Kwiaty duże, blado żółte, gęsto na długim kłosie umieszczone, kwitną od sierpnia aż do zimy; kwiaty najniżej na kłosie umieszczone, rozkwitają najwcześniej, następnie stopniowo kwitną coraz wyżej rosnące, na czubku zaś umieszczone często wcale nie zakwitają.

Rośnie na ziemiach jałowych, piaszczysto-żwirowatych, nad rowami, na miedzach, odłogach i t. p.

Gdzie dziewanny rośnie dużo, chcąc większą ilość kwiatu nagromadzić, trzeba codziennie po południu, gdy ani śladu rosy już niema, obejść wszystkie krzaczki, pozrywać suchemi palcami same rozkwitłe kwiaty bez zielonego kielicha, nie ugniatając w koszyku, odnieść do domu, rozsypać jak najcieniej na podbitych siatką ramach i ustawić je w miejscu do suszenia przeznaczonem. Wystrzegać się trzeba mieszania i poruszania kwiatu palcami, gdyż łatwo od tego ciemnych plam nabiera, a tylko kwiaty złotawego koloru dobrze płacone bywają.

Dobrze wysuszony kwiat wsypywać w puszki blaszane, wyłożone wewnątrz białym papierem i zamknięte szczelnie, w bardzo suchem ustawiać miejscu.

Dzięgiel ogrodowy. Arcydzięgiel.
Archangelica officinalis.

Korzeń dwuletni, kręgielkowaty, do 8 cm. długi, 2—4 cm. gruby, szorstki, z wielu drobnemi odnożkami, wydaje w stanie świeżym sok gęsty, żółtawy;



Archangelica officinalis.

smak ma słodkawy, nieco ostry, po dłuższem żuciu gorzki; zapach mocno balsamiczny.

Wykopywać go trzeba tylko na wiosnę i to gdy już dwa lata stary i połupawszy, suszyć w miernem cieple i blaszanych przechowywać puszkach.

Ususzony, jest wewnątrz gąbkowaty, białawy. W rozerzniętym w podłuż widzieć można przy zewnętrznej stronie korę dość grubą, tłustą, koloru brudno białawego, mieszczącą w sobie kanaliki balsamowe, napełnione olejkiem.

Nie trzeba dopuszczać kwitnienia, bo po wydaniu nasienia, roślina cała zaraz ginie; zawczasu więc w pierwszym i drugim roku trzeba pozrzynać zawięzujące się kwiaty.

Rośnie dziko na brzegach łąk, na groblach, nad kanałami i rowami, w Karpatach.

Uprawiać można dzięgiel i wielkie mieć sprzęty, lecz trzeba zasiewać go na ziemi gliniasto-piaszczystej, starannie uprawionej i odleżałej, siać w rządki o 10 cali odległe, co 4 cale po kilka ziarnek razem; gdy powschodzą i podrosną, przerywać, zostawiając po jednej tylko roślince w miejscu i dobrze ziemię obcisnąć

Nasienie sprzątnięte w lipcu wysuszyć i zasiewać w połowie września. Podczas rośnienia pleć starannie, po dwóch latach wykopać korzenie, a rolę pod inny płód przeznaczyć.

Fiołek Bratek.
Viola tricolor.
Viola Jacea.

Wszędzie na ugorach i w zbożach rosnąca, bardzo pospolita roślina, a w ogrodach dla różnokolorowych kwiatów hodowana, bywa także jako herbatka w aptekach; rośliny, mające w kwiatku więcej koloru niebieskiego, więcej są cenione.

Korzeń roczny, z którego wyrasta po kilka gałęzistych łodyżek.

Liście naprzemianległe, podłużnie jajowe, wcinane.

Kwiaty na długich szypułkach, mają koronę pięciopłatkową, u dziko rosnących są płatki białe, żółte i blado niebieskie, u hodowanych płatki te są wielkie i w najrozmaitszych kolorach.

Sprzątać podczas kwitnienia, zżynając całe ziele nad ziemią.

Wysuszyć dobrze w cieniu i w drewnianych przechowywać pudłach, strzegąc od wilgoci i kurzu.



Viola tricolor.

Do zasiewania sprzątać nasienie z roślin niebiesko kwitnących; udaje się na każdej spulchnionej, na działanie słońca wystawionej ziemi.

Fiołek wonny.
Viola odorata.

Gdy tylko fiołki kwitnąć zaczną, trzeba codziennie rozkwitłe kwiatki zdejmować w czasie pogodnym i suchym, z zerwanych kwiatków powyrywać fioletewe korony i albo świeże odstawiać do aptek, lub też wysuszyć je dobrze na białem płótnie lub papierze i przechowywać w blaszanych puszkach.

Najlepiej rozmówić się najprzód z aptekarzem i do jego zastosować się życzenia.

Hodować bardzo łatwo, zasadzając młode z tak zwanych wąsów wyrosłe krzaczki, które już mają korzonki.

Sadzić trzeba na ziemi ogrodowej, pulchnej, trochę ocienionej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Drobne wiadomości.

Rolnictwo.

O nawozie zielonym. Liczne doświadczenia wykazały, że na przedplon jest mieszanina rozmaitych nasion leguminozowych (inkarnatka z łubinem, seradela z łubinem i t. d.) o wiele korzystniejszą, niż nasienie pojedyńczej rośliny. Nie można jednak następującego zestawienia dr. Edwarda Hottera, dyrektora szkoły rolniczo-chemicznej w Gracu, uważać za miarodajne. Każdy rolnik musi zbadać dokładnie swoją ziemię i postępować stosownie do swoich doświadczeń. Dr. Hotter radzi, jak następuje: A. ciężka rola. 1) Przedplon. Jako przedplon siać na wiosnę (z początkiem kwietnia) a) żółtą koniczynę, wysiew 12 kil. na 1 hektar, b) czerwoną koniczynę, wysiew 20—24 kil. na 1 hektar, c) szwedzką koniczynę, wysiew 12—16 kil. na 1 hektar, d) mieszaninę owych trzech gatunków koniczyny w równej części, wysiew 16 kil. na hektar. 2. Wysiew na ściernisko. a) inkarnatkę, 16 kil. na 1 hekt., żniwo: początek maja. Pokos na paszę z początkiem i podczas kwitnienia. Roślinę tę można także użyć jako nawóz zielony i jako paszę jesienną. b) wykę, pomieszaną z żytem lub inkarnatką. Wysiew: 30 kil. wyki, 20 kil. inkarnatki na 1 hekt. B. Piasczysta rola. 1. Przedplon. a) Seradela, 60 kil. na 1 hektar. W jesieni używa jej się jako paszę zieloną albo nawóz. b) inkarnatkę, pomieszaną z seradelą. 2. Wysiew na ściernisko. a) łubin sam, 200 kil. na 1 hekt. b) wyka z żytem lub inkarnatką, c) mieszanina rozmaitych gatunków łubinu, peluszki i białego grochu.

Korzystne wyzyskanie ścierniska jest z powodu obecnego braku robotnika zupełnie niemożliwem. Dla tego też pożądaną dla rolnika będzie zapewne wiadomość, że można ścierniska wyzyskać niewielką pracą. Otóż obsiać wszystkie te ścierniska, które nie są zbyt zanieczyszczone zielskiem (od 15 sierpnia do początku września) mieszaniną inkarnatki i wyki, bez poprzedniego zorania ziemi. Wysiew zabronować i przycisnąć mocno walcą. To jest koniecznem. Tym sposobem otrzymuje się dużo paszy, która jest wybornie ochronioną od wyzimowania.

Wróble w pszenicy, jeżeli ich jest wiele, mogą wyrządzić niezmierną szkodę, nietylko tem, że wyjadają ziarnka z kłosów, ale nadto łamią łodygi. Tam więc, gdzie istnieje plaga wróbli, siać należy pszenicę granową, czyli wąsatą. Z powodu długich wąsów wróble ziarnek wyjadać nie mogą.

Szampan mleczny. Pewna firma kolońska zbudowała aparat, za pomocą którego można zamienić chude, zbierane mleko na napój musujący. Koszta fabrykacyi wynoszą na 1 butelkę szampana mlecznego: 2 fen., z dodatkiem zaś malin i t. p. 4 fen. Czy próby te znajdą uznanie, tego dziś jeszcze wiedzieć nie można, byłoby to jednak doskonałe zużycie zbieranego mleka.

Hodowla zwierząt.

Rany zwierząt, jeżeli nie ma pomocy weterynarza, trzeba najpierw gruntownie i starannie wyczyścić, wymyć letnią wodą z dodatkiem lysolu lub creolinu i posypać potem cukrem sproszkowanym. Można też nasypać cukier w woreczek gazowy i tem ranę obwiązać. Jest to najlepsze i najtańsze lekarstwo i ma tę korzyść, że zawsze i wszędzie jest pod ręką. Jeżeli rana bardzo jest wielką, natenczas czem prędzej wezwać weterynarza, cukier jednak nigdy nie zaszkodzi.

Drób.

Koniczyna obfituje w azot i sole mineralne, dla tego wywiera bardzo korzystny wpływ na produkcyę jej u drobiu. W Ameryce wypróbowano dostatecznie tę paszę i tamtejsi hodowcy polecają ją niezmiernie. Ma to być najlepszem pożywieniem dla kur i kaczek. Koniczyna ma się równać pszenicy. Dawać ją można albo sproszkowaną, albo w kształcie sieczki, zawsze jednak musi być parzona warem. Na 1 kubełek tej koniczyny brać 1 funt szrótu kukurydzowego, owsianego i otrąb pszenicznych, $^1/_4$ funta mąki z kuchu lnianego i 1 łyżeczkę soli. Wszystko razem doskonale wymieszać, ilość ta starczy dla 30 kur.

Indyki muszą być teraz jak najwięcej na polu. Wypędzać je na ściernisko — znajdą tam dosyć żywności i mają potrzebny ruch.

Hodowla mączników dla kanarków i ptaszków pokojowych. Wziąść małe pudełko, nie mające ani jednej szczeliny, a szerokie na 10—15 cm., równie tyle głębokie i 20—25 cm. długie (najlepszem jest blaszane pudło od biszkoptów, wafli i t. p.) wyłożyć je wewnątrz, jeżeli można, szklanemi płytami, zrobić wieko także z szklanych płyt, mających jednak otwór dla przewietrzania, ale tak mały, aby robak nie zdołał przez niego przejść. Na dno położyć kawałek czystej flaneli albo łatki wełnianej, posypać trochę mąki i otręb, na to położyć znowu flanelę i tak napełnić pudełko do połowy, kładąc kolejno łatki i mąkę z otrębami. Teraz kupić 1000 mącznic i wrzucić je w pudełko, a wszystkie schowają się zaraz pomiędzy łatki. Od czasu do czasu trzeba im dać kawałek chleba i odrobinę jabłka albo ćwikły, nigdy zaś mięsa. Pudełko musi stać zawsze ciepło, najlepiej na piecu. Mącznice prędko się mnożą — jeżeli nie ma w pudle chrząszczyków, to trzeba wybrać wszystkie robaki i odświeżyć łatki i mąkę. Żółtych poczwarek nie trzeba wyrzucać, z nich bowiem wylęgają się robaki, które najpierw są brunatne, potem czarne. Są to chrząszczyki rozpłodowe, nie zaś szwaby. Przy starannej opiece można hodować kilkanaście generacyi z jednego zakupna.

Owoc.

Kalifornia, kraj, zwany amerykańskiemi Włochami, wygląda jak wielki ogród owocowy. Ziemia jest tam zupełnie czystą i nie ma ani zielska, ani trawy. Deszcz pada tylko zimą. Cała środkowa i południowa Kalifornia wyglądała jak pustynia, zanim tam kulturę zaprowadzono. Wymyślano rozmaite sposoby, jak by można ziemię tanio i dostatecznie zwilżać i nareszcie postanowiono uczynić to zupełnie inaczej, bo nie zwilżać z wierzchu ziemi, będącej zwykle twardą skorupą, tylko uprawiać ją i przerabiać tak, aby powietrze i rosa nadały jej dosyć wilgoci. Rezultatem tego są olbrzymie, przepyszne owoce i wyborowe warzywa. Widać zatem, jak spulchnianie ziemi jest ważnem!

Suszenie czarnych jagód. Nasypać jagody na czysty papier i suszyć je na powietrzu w cieniu. Gdy już suche, włożyć je w woreczki i przechować w suchem, przewiewnem miejscu. Później, gdy mają być użyte, wsypać je w gliniany garnek, dodać cukru do smaku, dolać trochę wody i czerwonego wina, zostawić tak długo, dopóki jagody nie przejdą sokiem i nie rozpęcznieją, i potem wydać na stół.

Gruszki latowe nie powinny dojrzeć zupełnie na drzewie, bo staną się mączyste i stracą sok. Zdjąć je, gdy pestki zaczynają nabierać koloru bronzowego i położyć na kilka dni w ciemnem miejscu na słomę.

Warzywo.

Płynny nawóz świeży niezmiernie korzystnie wpływa na bujny rozwój warzywa. Najlepszy nawóz jest z obory i kurnika. Rozpuścić go w wodzie i podlewać warzywo w około, albo też włożyć rydel w ziemię, odchylić ją nieco i w ten otwór wlać trochę nawozu. Czynić to jednak zawsze tylko wieczorem, albo przed deszczem.

Cebulki perłowe. W Sierpniu wysadzać cebulki w odległości 8—10 centm., w lipcu, roku następnego, uschną liście, co jest dowodem dojrzałości rośliny — wtedy wybrać je i najmniejsze cebulki zasadzić zaraz na innym zagonie. Do sadzenia używać zawsze najmniejszych cebulek. Ziemia powinna być pulchna, ciepła, jeżeli zaś jest zbyt ciężką, to pomieszać ją z piaskiem.

Chcąc mieć jak najdłużej świeży szablak, trzeba stręki obrywać, zanim zupełnie dojrzeją. Obrywać należy ostrożnie, aby rośliny nie obruszać z korzeni. Co kilka dni polewać wieczorem rozcieńczonym płynnym nawozem, mianowicie przed lub podczas deszczu. Tym sposobem można mieć świeży szablak aż do późnej jesieni.

Sposób przeciw gąsienicom na kapuście. Nowym a dobrym sposobem przeciwko temu szkodnikowi jest sól bydlęca. Wieczorem posypać zagony kapusty solą, którą rosa nocna rozpuszcza. Gąsienice soli znieść nie mogą i wynoszą się natychmiast. Trzeba to jednak kilka razy powtórzyć — sposób ten jest tak tani i łatwy, że wykonaniu jego nic nie przeszkadza.

Ogórki i melony podlewać zawsze odstałą wodą, nigdy zaś zupełnie świeżą i zimną ze studni. Taką samą też wodą spryskiwać liście.

Szablak krzaczasty nadaje się tak samo do zaprawienia jak tyczkowy. Niechże te panie, które przeciwnego są zdania, spróbują raz, a poznają z pewnością, że nie miały słuszności. Pomiędzy jednym a drugim gatunkiem szablaku żadnej nie ma różnicy.

Szalotkę (cebulka perłowa) flancować najlepiej na jesień, jeżeli to jednak nie było możliwem, w takim razie uczynić to teraz jak najprędzej.

Cebule udawają się bardzo dobrze na zagonach, na których poprzednio rosły selery. Zrobiono też doświadczenie, że flancy cebuli żadne nie naruszyły robaki.

Pod redyski, jest gips bardzo dobrym nawozem. Redyski są soczyste, ostre i zupełnie ochronione od robaków.

Przemysł.

Żelazo. Ślusarze i kowale dawno już zrobili to spostrzeżenie, że sztaba żelazna rozpalona do czerwoności na jednym końcu, a włożona w wodę, staje się na drugim końcu tak gorącą, że jej utrzymać nie można. Francuzki uczony Bourget skonstatował przy pomocy galwanometru, że prędkość, z jaką się rozgrzanie to odbywa, przewyższa o wiele prędkość, z jaką żelazo może ciepło odprowadzać. Przypuszcza on, że cała sztaba żelaza podlega wskutek nagłego oziębienia zmiany w swoich pojedyńczych częściach, i że zmiany te objawiają się właśnie pod postacią gorąca. Juliusz Granier udowodnił, że gdy płynne żelazo jest wlane w formę i wystawione na nacisk mniej więcej 600 atmosfer, to żelazo staje się nagle twardem, gorąco zaś przechodzi w formę, która natychmiast przybiera barwę czerwoną.

Polerowanie małych przedmiotów metalowych. Chcąc polerować małe części maszyn i t. p. trzeba zmieszać 10 części terpentyny. 20 cz. oleju stearynowego i 30 cz. miałko przesianego węgla zwierzęcego, do tego dodać tyle alkoholu, ile potrzeba do rozcieńczenia płynu. Cienkim pendzelkiem pociągnąć owe przedmioty, poczekać, dopóki płyn nie obeschnie, potem wytrzeć wełnianą łatką, węglem zwierzęcym i angielską czerwoną farbą i w końcu wypolerować jelenią skórką.

Dobry klej. Zamoczyć koloński klej w wodzie, a gdy dobrze już nasiąknie, zlać wodę. Potem do rozmiękczonego kleju dodać lnianego oleju i gotować razem nie długo i na niewielkim ogniu. Latem dodać do kleju cokolwiek kwasu salicylowego.

Kołownictwo.



Latarnie. Kupując latarnie acetylowe do welocypedu, trzeba uważać na to, aby brennery nadawały płomieniowi formę płaską, wachlarzowatą, a której strona szeroka jest zwróconą naprzód. Źle postawiony brenner może kołownika całej przyjemności posiadania latarni acetylowej pozbawić, dla tego kupując, trzeba ją najpierw zapalić. Różnica pomiędzy płomieniem wachlarzowatym a okrągłym bardzo jest wielką; ostatnia roztacza blask żółty, podczas kiedy pierwsza ma blask całkiem biały. *D.*

Ogrzewanie i gotowanie za pomocą elektryczności.

Weźmy cienki pręt żelazny w kształcie sprężyny, wężykowato zakręconej, i wystawmy go na działanie prądu elektrycznego w należytej sile, a drut rozpali się do czerwoności. Ten prosty fakt, że drut ogrzewa się, gdy puścimy przez niego prąd elektryczny, jest podstawą przy konstruowaniu elektrycznych aparatów do ogrzewania i gotowania. Jest jeszcze inny sposób wytworzenia ciepła za pomocą prądu elektrycznego, którego także użyć można do aparatów ogrzewania elektrycznego, to jest: wytwarzanie ciepła łukiem Volty. Dla ogrzewania aparatów do gotowania nie ma ten sposób wytwarzania ciepła żadnego znaczenia, tem więcej za to w zakresie industryi.

Wracając do drutu, widzimy, że powstaje natychmiast aparat do gotowania, jeżeli sprężynę zanurzymy w wodzie. W naczyniu szklanem znajduje się zimna woda, a jeżeli się prąd teraz zamknie, to woda zacznie się zwolna ogrzewać i w kilku minutach nawet gotować. Prędsze lub wolniejsze zagotowanie się wody zależy od tego, czy drut sprężyny jest cieńszy lub grubszy.

Jeżeli się ową sprężynę drutową zawinie na osobnej podstawie w cokolwiek innej formie, i zanurzy ją w naczynie szklane, mające po nad dnem kurek do spuszczania wody, wtedy mamy aparat do gotowania taki, jaki się znajdował na wystawie w Monachium w r. 1882, a nieco później w Królewcu, a który dziś należy do zastarzałych i niepraktycznych pierwszych prób na tem polu. Mleka n. p. nie można wcale w takiem naczyniu go-

tować, bo sprężyny drutowej nie można czyścić.

I dużo minęło czasu, zanim zaczęto się znowu zajmować kwestyą gotowania za pomocą elektryczności i wymyślenia aparatów, które byłyby lepszemi, niż poprzednie.

Nasze zwyczajne naczynia do gotowania są po największej części żelazne albo miedziane, w ostatnich zaś czasach niklowe. Starano się więc o skonstruowanie elektrycznych naczyń do gotowania z metalu. Ale to było trudnem. Drut rozpalony prądem elektrycznym nie powinien mieć styczności z metalem garnka, ponieważ prąd odwodzi się z drutu i ciepło zmniejsza się znacznie. Chcąc zatem mieć elektryczne naczynie do gotowania, w którem możnaby gotować wszelkie płyny i potrawy, trzeba było otoczyć sprężynę drutową środkami izolującemi ją. Te druty rozgrzewające a izolowane umieszczono w podwójnem dnie metalowego naczynia do gotowania. Był to w porównaniu do aparatu z r. 1882, ogromny postęp, a jednak naczynia owe nie były jeszcze zadawalniającemi. Najważniejszym ich błędem było to, że potrzebowało się bardzo wiele prądu, i że dla tego gotowanie takie bardzo było drogie, mianowicie, jeżeli prąd brało się z zakładów elektrycznych. Inny jeszcze błąd polegał na tem, że podwójne dno, w którem umieszczono sprężynę, nie zamykało się szczelnie, w razie bowiem reperatury trzeba było drut wyjmować. Z czyszczeniem tych garnków także zachodziły trudności, ponieważ nie można ich było kłaść w miskę do pomywania. Trzeba je było czyścić bardzo ostrożnie, aby woda nie dostała się pomiędzy dna — w tym bowiem razie niszczyło się zaraz izolowanie otaczające drut, i garnek był zepsuty. Trzecim błędem był ten, że nie można było użyć tych aparatów w pokoju. Prąd elektryczny ogrzewał aparat tak na wewnątrz jak i na zewnątrz, tak, że chcąc ich użyć, trzeba je było postawić na podstawie szklanej lub porcelanowej, aby się stół nie spalił.

Pomimo tych niedoskonałości był popyt wielki o te aparaty, każdy bowiem poznał od razu nieocenione zalety elektrycznego garnka.

Bo czyż to nie zdumiewające, gdy w każdym kącie mieszkania, w którem elektryczność jest zaprowadzoną, można gotować za pomocą połączenia dwóch cienkich drucików? Przeprowadza się tylko do takiego garnka prąd elektryczny, i bez płomienia, bez sadzy i dymu, bez swędu właściwego n. p. maszynom petrolejowym, zaczyna się wkrótce gotować woda i t. p. Więc też nie dziw, że gospodynie domu starały się usilnie o nabycie takiego elektrycznego aparatu.

Więcej jeszcze, niż aparaty do gotowania, miały rozgłosu aparaty do ogrzewania, n. p. żelazka do palenia włosów, żelaza do prasowania i t. p.

Najlepiej nadawają się jako opory szlachetne metale, nie wrażliwe na wpływ powietrza, przedewszystkiem zaś złoto i platyna. Szlachetnych metali używano już oddawna w technice, aby na podkładkach wytwarzać cienkie pasy. Filiżanki o złoconych brzegach i szklanki są wynikami tej techniki, i te właśnie pasy złocone służą przy aparatach, jako opory. Przy garnkach do gotowania nie może naturalnie złoty pas ten znajdować się bezpośrednio na naczyniu metalowem, tylko musi być od niego izolowanym. Chcąc to osięgnąć, trzeba naczynie do gotowania pociągnąć na zewnątrz warstwą emalii, która nie przewodzi prądu elektrycznego, i na tej emalii dopiero nakładać cienkim pendzlem pasek złota, zupełnie tak, jak to czyni malarz, nakładający brzeg złoty na filiżance porcelanowej W ten sposób powstaje droga dla prądu elektrycznego, która mu stawia silny opór i zamienia go na ciepło. Dla temperatury nad 300° nie jest emalia już dosyć wytrzymałą, wtedy wypala się pas metalowy. Przy garnku do gotowania znajdują się na obydwóch końcach pasa metalowego, nałożonego pendzelkiem dwie przylutowane klamry, które łączą pas metalowy z prądem. Ponieważ zaś garnek rozgrzewa się także z zewnątrz, i możnaby łatwo ów bardzo cienki pas z szlachetnego metalu uszkodzić, przeto trzeba wstawić właściwy garnek do gotowania w inny garnek i zlótować je obydwa razem.

W ten sposób urządzony garnek podwójny odpowiada wszelkim wymaganiom, jakie stawiać można pod względem praktycznego gotowania i czyszczenia. Garnek można włożyć do wody i umyć go, lub postawić pod wodociąg i t. p. Garnek nie potrzebuje żadnej podstawki, bo nie rozgrzewa się na zewnątrz, i można go śmiało trzymać w rękach, podczas kiedy zawartość jego w najlepsze się gotuje.

W rozmaitych fabrykach wyrabiają teraz doskonałe aparaty elektryczne do gotowania i ogrzewania, i to z rozmaitych materyałów, starając się głównie o dobre umieszczenie oporów. Bardzo dobrym oporem okazało się czyste silicium — przewodzi ono $13\frac{1}{3}$ razy gorzej niż węgiel światła łukowego i 253 razy gorzej niż nowe srebro. W Francyi pokazywano niedawno aparat do gotowania, składający się po prostu z pręta z silicium, zamkniętego w bezpowietrznej szklanej rurze. Zwykle bywa też drut używanym jako opór. W jednej z fabryk francuzkich kładą go w sproszkowane szkło, które topi się dopiero przy 800° gorąca, tak, że drut bezpiecznie może znieść temperaturę 350°. W innej fabryce biorą cienki drut z połączenia niklowego. Na tym drucie naciągają perełki szklane, i ten rząd perełek kładą na dno naczynia do gotowania, i przymacniają kamiennym kitem.

Elektryczne gotowanie wcale jednak nie jest taniem. Zagotowanie jednego litra wody kosztuje 1,5 fen. a więc jeszcze raz tyle, ile gotowanie gazem. Inni obliczają jeszcze wyższe koszta, i tak n. p. liczy Helberger:

Zagotowanie 1 litra wody	2,3	fen.
1 godzina prasowania	7,5	„
4 filiżanki kawy na wiedeńskiej maszynie	1,0	„
rozgrzewanie nożyc do palenia włosów	0,5	„
1 godzina lutowania	4,0	„

Liczby te dowodzą, że gotowanie n. p. całego obiadu wypadłoby w domach mniej zamożnych o wiele za drogo, pominąwszy już wydatki na naczynia kuchenne, które także nie są tanie. Do gotowania kawy, rozgrzewania żelaza do palenia włosów i t. p. drobnostek, nie potrzeba zważać na zbyt wysokie koszta, bo tam, gdzie się urządzenie elektryczne znajduje, nie czyni to żadnej prawie różnicy. Ale ogrzewanie elektryczne pokoji nie ma widoków powodzenia, bo koszta byłyby ogromne. Jedynym budynkiem dotychczas, ogrzewanym elektrycznością jest zakład elektrycznej siły nad Niagarą, w którym sala machin i budynek zarządu są w ten sposób ogrzewane. „Piece“ zawierają po 18 sprężyn z żelaznego drutu, ogrzewanych przepływającym prądem. Licząc koszta te na podstawie berlińskich cen prądu, mamy summę 70 mk. na godzinę, a więc na 24 godzin przeszło 800 mk. Koszta nakładowe są wprawdzie nad Niagarą o wiele mniejsze, ale mamy przynajmniej wyobrażenie, ile by mniej więcej ogrzewanie elektryczne kosztowało u nas. Koleje elektryczne bywają także tu i owdzie ogrzewane za pomocą elektryczności. Na kolejach miejskich, gdzie pasażerowie krótki stosunkowo czas znajdują się w wagonach i nie zdejmują płaszczy, wystarcza już temperatura 7—8°, i wtenczas nie byłyby koszta zbyt wysokie.

Elektrotechnik.



Królowa poziomek.

Dział kobiecy.

Nowoczesna kosmetyka.



Być piękną i zachować piękność aż do lat najpóźniejszych to zapewne najgorętsze życzenie każdej kobiety. Żaden rozsądny mężczyzna nie weźmie tego za złe kobiecie, która stara się o zachowanie swej urody chociażby za pomocą sztucznych środków, byleby nie używała pudru, blanżu, różu i ołówków.

Po wszystkie czasy usiłowali uczeni zbadać tajemnicę zachowania młodości i badań tych nie uważali bynajmniej za błahostkę. — Przez całe setki lat nie przestawano szukać kamienia mądrości, aż w końcu uznano, że tak, jak nie można wynaleść eliksiru życia, tak też nie ma środka nadającego twarzy wieczną piękność i młodość. Kto koniecznie chciał wyglądać młodziej i ładniej, niż był nim w rzeczywistości, ten musiał używać środków sztucznych, ale poznano wkrótce niestety, że sztuka nigdy nie zdoła zastąpić natury. A jednak istnieje sposób nadania twarzy młodości i urody! Sztuka ta jest niejako powrotem do natury i podstawą nowoczesnej kosmetyki. Nie chodzi tu o słojki z farbami, owe szkodliwe środki upiększania się, które na krótki czas może naśladują naturę, ale psują płeć w najokropniejszy sposób, tylko o środki takie, które w sposób hygieniczny upiększają twarz, czyszczą płeć i nadawają jej istotnie świeżość młodości.

Ciało człowieka wskazuje nam więc drogę, na której albo piękność zachować, albo jej nabyć można. Wiadomo ogólnie, że masowanie jest jednym z najświetniejszych środków, stojących do dyspozycyi nowoczesnej medycynie. Tak jak masowanie nadaje całemu organizmowi zupełnie nowe siły, tak samo oddaje twarzy ową piękność, którą lata jej odbierają. I tutaj podnosi i polepsza masowanie pożywienie masowanych części. Wypychaniem spotrzebowanych materyi i wytworzeniem żywszego obiegu krwi doprowadza się komórki do wyższej zmiany materyi. Podpadającą czerwoność płci lub siną bladość, wyrzuty, węgry, tłusty połysk lub zbyteczną suchość skóry, wszystko to można polepszyć albo nawet zupełnie usunąć za pomocą masowania.

Ale masowanie twarzy nie odbywa się w taki sam sposób, jak masowanie innych części ciała. Skóra na twarzy jest nadzwyczaj delikatną i wrażliwą. Dla tego skonstruowano osobne małe aparata, które wywierają wpływ w sposób lekki i miękki, i które wolno, ale zawsze prawie doprowadzają do zamierzonego celu.

Chcąc mieć twarz piękną i młodą, trzeba przedewszystkiem usunąć zmarszczki, a lepiej jeszcze zapobiedz ich tworzeniu się. Masowanie najskuteczniejszym na to jest środkiem. Wzmacnia ono zwiędłą skórę i muszkuły, które straciły wszelką energię i wraca twarzy całą elastyczność młodości. W jaki sposób powinno się masowanie twarzy odbywać, widzimy na załączonych obrazkach. W celu spotęgowania wpływu masowania można używać dobrych kremów itp. środków, które same przez się nadawają skórze pewną miękkość. Ale w środkach tych niezmiernie trzeba być ostrożną, nie wszystkie bowiem polecane w gazetach preparata są dobre. Mianowicie wystrzegać się pilnie tych, które po użyciu zostawiają na skórze białą powłokę, trudną do zmycia wodą — zawierają one bowiem ołów i są nadzwyczaj szkodliwemi.

Skóra na twarzy nadzwyczaj jest wrażliwą na wpływ powietrza. Świeżość płci, wytworzona wodą i tłuszczem, cierpi nie-



zmiernie pod wpływem wysuszającym: powietrza i słońca. Dla tego też trzeba stracone materye naturalne zastąpić sztucznemi. Dobry gold-cream, lanolina i prawdziwa pasta Simona są wybornemi tłustemi pastami, których ciągłe, ale mierne używanie nigdy płci nie zaszkodzi. Po każdem umyciu twarzy natrzeć



wilgotną jeszcze skórę jedną z tych past i obetrzeć potem miękką łatką, albo antyseptyczną watą. Poprawić można jeszcze miękką skórką jelenią, aby wszelki nieprzyjemny połysk znikł zupełnie.

Panie, mające już z natury tłustą skórę na twarzy, nie powinny nigdy past takich używać, natomiast dolewać do wody do mycia kilka kropli wonnego octu toaletowego i zamiast mydła używać otrąbków. Płeć szarą, czerwony nos, wyrzuty itd. można usunąć za pomocą następującej metody: Przedewszystkiem zachować pewną dyetę i unikać korzennych potraw, kwasów, spirytuozów, kawy i herbaty. Za to jeść dużo potraw mącznych, jaj, gotowany owoc, pić kakao, czekoladę i dużo mleka, mianowicie gęstej słodkiej śmietanki, którą oprócz do mięsa, brać do wszystkich innych potraw. Kąpać się często, spać długo i masować całe ciało i twarz, a po krótkim czasie nabierze płeć białości i świeżości.

Masowanie ciała wtenczas tylko od-

niesie pożądany skutek, jeżeli się odbywa konsekwentnie co dzień, rano i na wieczór po pół godziny. Ale nie potrzeba wcale używać do tego całej siły – prawidłowe gniecenie i tłoczenie jest potrzebnem tylko tam, gdzie chodzi o usunięcie jakiegoś cierpienia itp. Lekkie nacieranie i używanie masła kakaowego wystarczy zupełnie. Masowanie twarzy powinno się odbywać tylko raz na dzień i to najlepiej rano, po umyciu, nigdy zaś nie trwać dłużej, jak 20 minut.

Jeżeli ręce są czerwone, to kąpać je codziennie w odwarze owsianej mąki, przecedzonym i wystudzonym i pomieszanym z zwyczajnym krochmalem surowym. Czerwony nos, mianowicie po wypiciu czegoś gorącego, bardzo niełdanie wygląda i szpeci najpiękniejszą twarzyczkę, ale i na to jest rada. Skoro tylko nos zaczyna się czerwienić, włożyć obie ręce aż po łokieć na 10 minut w bardzo gorącą wodę, poprzednio zaś nałożyć na nos grubą warstwę surowego krochmalu (mączki). Po wyjęciu rąk z wody zetrzeć mączkę zupełnie lekko.

Oprócz tego inny jeszcze środek: nacierać nos kilka razy dziennie rozczynem z 10 gram. sproszkowanego boraksu, 150 gram. różanej wody i kilku (2—3) łyżeczek wody kolońskiej. Zamiast mydła polecamy usilnie otrąbki migdałowe do mycia twarzy — raz po raz żółtko — wywiera to bardzo dobry wpływ na płeć. Przeciwko wyrzutom na twarzy używać do mycia wody Vichy (kilka razy dziennie) i brać codziennie naczczo małą dozę natronu.

Każda kobieta powinna zwracać także pilną uwagę na włosy. Że muszą być ładnie ułożone i niestety, palone, to jest zupełnie naturalnem, ale staranne pielęgnowanie ich więcej jeszcze wymaga zabiegów. Przedewszystkiem dawać je często szamponować, a potem codziennie szczotkować. Dla wzmocnienia korzeni używać co kilka dni bayrumu, ekstraktu chininy albo wódki francuzkiej, i wcierać to w skórę za pomocą miękkiej gębki.

Ostatecznie wspomnieć jeszcze należy o brwiach i rzęsach. Niejedna blondynka patrzy może z żalem w sercu w lustrze na zbyt jasne otoczenie swych ładnych oczek i pyta się mimowoli, co robić, aby nadać swej twarzy więcej wyrazu? O, moja piękna, na to istnieje bardzo niewinny sposób, który polega trochę na złudzeniu, ale będąc nieszkodliwym, nie zasługuje na potępienie. Otóż odrobinka ciemnej pomady, takiej, jakiej płeć brzydka używa na wąsy, wystarczy, aby brwi i rzęsy twoje były ciemne, zupełnie podług twego życzenia! Zwilżyć trochę rzęsy i brwi i nałożyć odrobinę pomady ostrożnie maleńką szczoteczką z sierści wielbłąda. Potem wygładzić pojedyńcze włoski palcami i efekt jest zadawalniający.

Głównym warunkiem piękności jest przecież zdrowie i ruch na świeżem powietrzu. Ten, komu żołądek nie dopisuje, kto wiele je a mało chodzi, ten powinien przedewszystkiem udać się do lekarza, i starać o to, aby cały organizm odzyskał właściwą proporcyę i właściwą harmonię. Lekarz naturalnie lepiej poradzi, niż zwolennik nowoczesnej kosmetyki, który wcale nie ma pretensyi nazwania się tajemniczym czarodziejem.

M. P.

Samotni ludzie.

Jak smutnie to brzmi: „samotni ludzie!“ A jak wielką jest liczba tych, którzy sami i opuszczeni od innych, muszą iść na drodze życia. Ale czy ci, którzy płyną na falach wielkiego świata, otoczeni gronem znajomych, nie znają chwil, w których czują się zupełnie samotnymi?

Rozmaite są powody, dla jakich ludzie żyją w samotności.

Najpierw istnieje owa samotność, wynikająca z natężonej *pracy*. Człowiek jest przyzwyczajony do skierowania całej siły ducha na jeden przedmiot i zwolna staje się jednostronnym w swych zapatrywaniach i w swoich uczuciach. W sercu jego nie ma miejsca ani miłość, ani zajęcie się bliźnimi — samotny, jak na wierzchołku góry, stoi sam i widzi tylko z daleka, że oprócz jego dzieł są inne jeszcze dzieła, że oprócz jego zapatrywań, inne jeszcze zapatrywania istnieją na świecie. To także jest samotność.

Istnieje też znana wszystkim, samotność *egoizmu*. Obojętność dla innych i samolubstwo nie zyskuje przyjaciół — egoista zajmuje się tylko własnemi sprawami, o innych nie myśli wcale. I nagle widzi się opuszczonym od ludzi i żyje sam, aż do końca życia.

Najgorszą jest samotność *urojona*. „Jestem zupełnie sama!“ Jak często dają się słyszeć te słowa skargi. „Ludzie nie rozumieją mnie!“ Nie jest że to przywidzeniem? Są kobiety, które podobne rzeczy tak długo w siebie wmawiają, aż w końcu w nie uwierzą, i zachmurzone, rozżalone na świat i ludzi, żyją niezadowolone z siebie i z innych, wśród wesołego, swobodnego otoczenia. Każdy z nas zna takie „niezrozumiane“ kobiety i strzeże ich się, jak ognia. Ta samotność, przemocą nieomal wytworzona musi być okropną, bo żaden ból nie dolega tak, jak ten, który nam z własnej znosić trzeba winy.

Znamy też samotne, starzejące się dziewczyny, nie mające ani własnego domu, ani serca, któreby dla nich biło. Te muszą zrzec się marzeń szczęścia, chociaż to ciężko nieraz. Ale o stare panny zwykle się ludzie nie troszczą.

Zrzec się czegoś — jak łatwo wymawiają to ci, którzy nigdy nie doświadczyli znaczenia tego słowa. Wyrzec się szczęścia, miłości, wszystkiego, co jest ideałem każdej prawdziwej kobiety i patrzeć na to, jak setkom innych dziewcząt, nie posiadających więcej zalet, wszystko to dostaje się bez trudności w udziale. A przytem nie wolno starej pannie nigdy okazać żalu i nie zdradzać ciężkich walk duszy, jakie stacza! Nie wolno być zazdrosną — inaczej wszyscy wyszydzą i wyśmieją starą pannę i prześladować ją będą złośliwemi uwagami. Prawdą, kamienną prawdą są słowa: „Źle jest na świecie, każdemu człowiekowi samotnemu, lecz najgorzej samotnej kobiecie.“

W życiu każdego człowieka są chwile, w których rady i pomoc bliższych nie wystarczają, a wtedy poznaje się dopiero, co to znaczy być samym. Niektórym ludziom jest podzielone cierpienie rzeczywiście tylko połową cierpienia, ale są też bóle i troski, które człowiek sam znosić musi. Gdy wicher szaleje i zgina wierzchołki drzew, to spotykają się liście i gałęzie, ale gdy piorun uderzy, to niszczy jeden tylko pień i drzewo całe stoi samotne, złamane, rozłupane i zniszczone.

W końcu o jednej jeszcze samotności wspomnieć należy, t. j. o samotności w śmierci. [illegible]chające ręce mogą człowiekowi wprawdzie nieść ulgę i pomoc, i rodzina i przyjaciele mogą czuwać wiernie aż do ostatniej chwili. Ale człowiek musi sam odbyć drogę ciemną i nieznaną, drogę do przyszłego życia. I najsilniejsza dłoń miłości nie ma żadnej już władzy, nie może odchodzącego zatrzymać — każdy z nas musi zupełnie sam iść do owej wielkiej, świętej krainy wieczności, z której powrotu nie ma...

G. M.

Gdzie dom jest mój?

Tekst: 1) polski, 2) czeski, 3) rusiński.



Nr. 38. — Poznań, niedziela 17-go Września 1899. — Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. **Telefon Nr. 295.**

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy nabyć można za 15 fen. z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Z Szanownymi Czytelnikami dzielimy się dziś smutną wieścią. Dotychczasowy kierownik „Pracy", Dr. Kazimierz Rakowski, dostał zupełnie nagle — bez sądu, bez procesu, bez wyroku — nakaz opuszczenia granic państwa.

Gdy kreślimy te słowa, wolno mu przebyć jeszcze 48 godzin w państwie pruskiem.

W chwili, gdy pismo nasze ponosi wskutek wydalenia Dr. K. Rakowskiego dotkliwą stratę, gorszą od wszystkich przebytych procesów, nie stać nas na obszerne omawianie faktu, którego osądzenie pozostawiamy ogółowi. Oto jedna ofiarą więcej, złożona obok poprzednich, które Wydawnictwo „Pracy" dla świętej sprawy poniosło. Przemawia ona chyba dość wymownie za naszą sprawą do serc Czytelników. Tylko przez czynne i wytrwałe popieranie „Pracy", przez rozszerzanie jej i zjednywanie nowych abonentów mogą nam być powetowane straty. Więc nie staramy się tu dziś zapomocą dobranych słówek zachęcać Czytelników do poparcia zwłaszcza przy zmianie kwartału, bo wierzymy mocno, że każdy z dotychczasowych Czytelników naszych dołoży wszelkich starań, aby liczbę abonentów „Pracy" powiększyć. Dzielimy się przytem wiadomością, że jakkolwiek nieobecny, Dr. Kazimierz Rakowski i nadal będzie nas zasilał artykułami, a pod względem doboru i obfitości treści „Praca" pomimo wszystkie przejścia jeszcze przewyższać będzie dotychczasowe nasze numery. Czujemy, że w miejscu stanąć nam nie wolno, że nawała hakatystyczna, której jedną z ostatnich ofiar padł nasz drogi i ceniony współpracownik, idzie coraz wyżej, więc i my też coraz silniej kołatać będziemy do serc polskich, mówiąc: Obudźcie się z ospałości duchowej, zaciągnijcie się pod sztandar narodowy, czytajcie i szerzcie oświatę, abyśmy nie zginęli wśród nawały germańskiej.

Sądzimy nakoniec, że wolno nam tu w imieniu całego grona naszych Czytelników wyrazić p. D-rowi Kazimierzowi Rakowskiemu serdeczne ubolewanie z powodu ciosu, który spadł na niego, oraz podziękowanie za pracę, której w interesie dobra publicznego nie szczędził, a którą zawsze w miłem zachowamy wspomnieniu.

Poznań, we Wrześniu 1899.

Wydawnictwo „Pracy."



Moje pożegnanie.

Gdy się idzie na wojnę, trzeba być przygotowanym, że kulka trafić w pierś może.

A czemże innem jest obrona naszych praw narodowych przed Hakatą, jeśli nie wojną, w której obie strony nie oszczędzają się nawzajem?

Gdym stawał w szeregu tych, co dziś na arenie politycznej w pierwszej linii niosą nasz sztandar polski w obliczu germańskiego zalewu, czułem mniejwięcej to, co czuć może żołnierz stawiony na posterunku, gdzie każdej chwili dosięgnąć go może kula wroga.

Posterunkiem najbardziej może ku zastępom nieprzyjacielskim wysuniętym była dla mnie kochana nasza „Praca“. A choć jak żołnierz na posterunku każdej chwili gotów byłem ponieść następstwa podjętego dzieła, nie sądziłem, że tak nagle i tak szybko los mi nakaże moje stanowisko opuścić. — Ta sama dłoń, która ukuła wyjątkowe prawa przeciw Polakom, wskazuje mi drogę w świat szeroki, w dal od ludzi, z którymi się zżyłem i z którymi pracować chciałbym do śmierci, wyrywa mnie nagle z pośród otoczenia, w obrębie którego widziałem cel mych dążeń, ofiarowując na pamiątkę pobytu tutaj — dekret wydalający z Prus.

I oto spoglądam ze łzą w oku na ten zaorany zagon mój.... Inna dłoń, daj Boże, silniejsza od mojej, dokończy po mnie rozpoczętej skiby, ale ja już nie będę oglądał plonu, chyba z oddali, z życzeniem w sercu, aby nie na marne poszły te wysiłki ku obudzeniu ducha narodowego wobec niebezpieczeństwa germanizacyi.

W chwili, gdy te słowa ukażą się w druku, już będzie pobyt w Wielkopolsce dla mnie przeszłością bez powrotu, bez nadziei ujrzenia jej kiedykolwiek w życiu.

Więc czas się pożegnać, a mnie tak dłoń drży, gdy skreślić mam te słowa, jak gdyby jeszcze o zwłokę prosiła. Bo też z pod tego pióra płynęły zwykle słowa zachęty i otuchy, dodające bodźca do obrony sprawy naszej, wśród trudnych warunków zwiastujące nadzieję lepszego bytu: mająż dziś po raz pierwszy płynąć z pod mego pióra żałosne słowa i jęki na nieubłagane fatum, które cięży nad każdym, kto tylko urodził się w Prusach Polakiem? O nie, byłem na posterunku, pracowałem, ile sił starczyło — dziś go opuścić muszę, zajmie go kto inny, lecz dłoń, która nasze społeczeństwo dotknąć tem chciała, mnie tylko samego dotknęła, bo sama sprawa nie ucierpi. Byłem jednem z kółek w naszej machinie wydawniczej, wyjęto je, będzie inne: a machina nie stanie — czegoż więc się tu smucić? Raczej cieszyć mi się wypada, że wolno mi cierpieć za sprawę, za którą już tylu lepszych o wiele gorzej cierpiało.

Z uczuciem spełnionego obowiązku wobec braci Wielkopolan opuszczam mury Poznania — i gdy we mgle oddalenia powoli znikać zaczną tak znajome i sercu tak drogie wielkopolskie niwy, a łza rozstania przyćmi oko, serce zadrży niepokojem i bólem — usta moje szeptać wtedy będą: Zegnaj mi Wielkopolsko, żegnajcie wy wszyscy, których poznałem przy cichej pracy, żegnajcie — na zawsze, chyba że dłoń, kierująca losami narodów otworzy znów przedemną wrota tej ziemi, którą ustawa banicyjna przedemną zamyka!

Unoszę ze sobą, jak z pola walki, wspomnienia przebytych niebezpieczeństw i przekonanie, że bezowocnie nie składa się ofiar dla *naszej sprawy.*

A za to, żeś mnie nauczyła pojmować wyniki mrówczej pracy społecznej, żeś wskazała szczytne hasło obrony przed germanizacyą i do szeregu pod sztandar powołała — niech Ci będą dzięki, Wielkopolska ziemio!

Za to, żeś mnie, choć ubogi opuszczam Twe ziemie, zaopatrzyła w zasób nadziei, energii, ducha i wćwiczyła do walki — cześć Ci za to, Wielkopolsko, składam dziś, wygnaniec z pośrodka swoich. Nie wolno mi już pracować na Twym zagonie, ale wolno zawsze powtórzyć: Cześć Ci, Wielkopolsko!

Cześć Ci za to, że bez ustanku toczysz walkę w obronie egzystencyi narodu, cześć Ci za to, żeś, zapomniana i opuszczona przez inne dzielnice Polski, znalazła dość siły i mocy, aby podnieść rękawicę, rzuconą przez germanizatorów i aby stanąć do walki w obronie najświętszych ideałów.

A jeśli głos samotnego wędrowca, który dziś w świat daleki wyrusza, szczęście Ci przynieść może w tej walce, to wołam z głębi serca, w którem nie wygaśnie nigdy przywiązanie do Ciebie:

Wielkopolskiej ziemi cześć!

Dr. Kazimierz Rakowski.

Poznań, we wrześniu 1899.

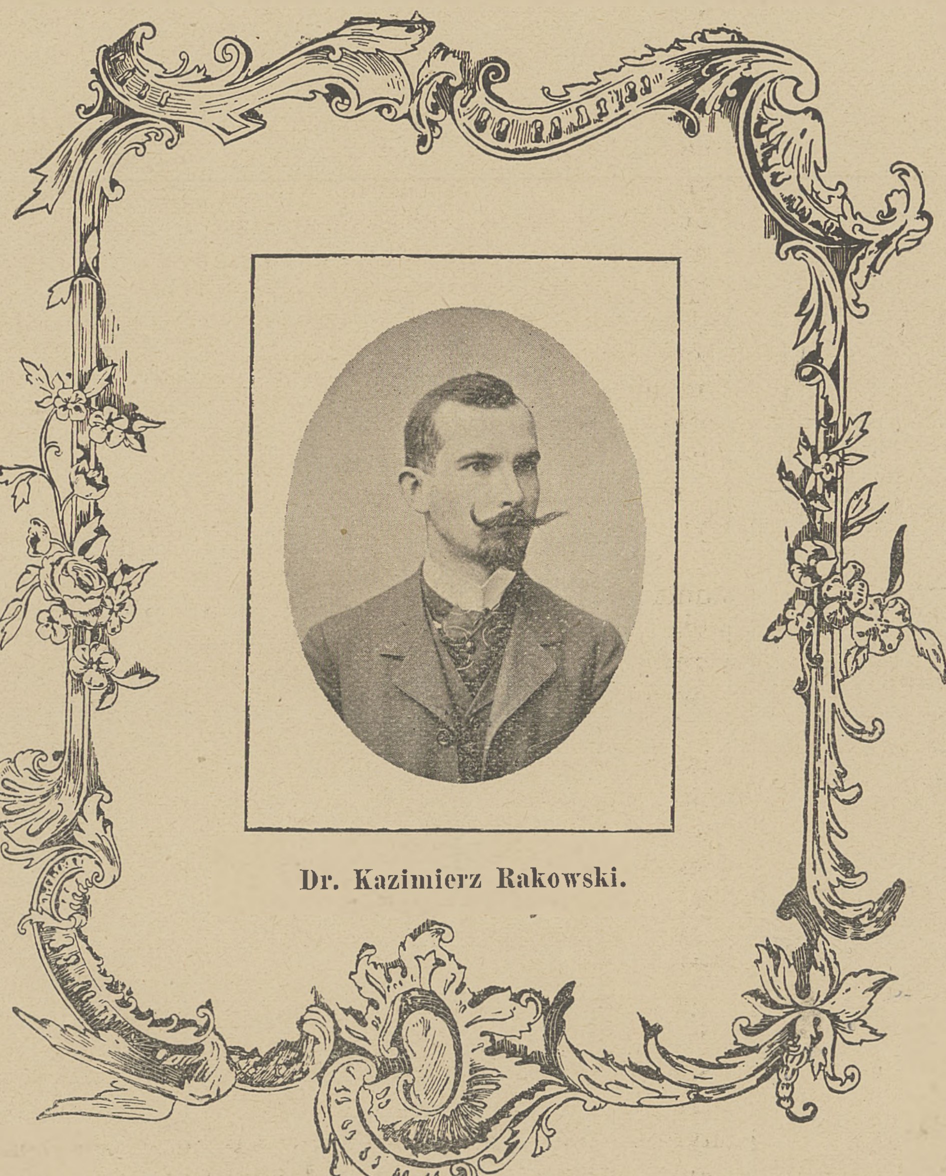
Dr. Kazimierz Rakowski, którego portret umieszczamy w numerze niniejszym, należy do młodszej generacyi naszych literatów, pomimo to jednak zdołał sobie w stosunkowo krótkim czasie wyrobić imię zdolnego i wszechstronnego publicysty.

Urodzony w roku 1874 ukończył p. Rakowski w 1890 roku gimnazyum z odznaczeniem. Następnie, zamierzając poświęcić się karjerze literackiej, udał się na studya do Heidelberga, gdzie uczęszczał na kursa prawne i filozoficzne. Po rocznym pobycie w Heidelbergu, zkąd wyniósł dr. Rakowski miłe wspomnienia, których najlepszym objawem jest fotografia z własnoręcznym podpisem znakomitego filozofa Kuno Fischera, zajmująca po dziś dzień honorowe miejsce na biurku byłego kierownika „Pracy“, przeniósł się tenże do Fryburga w Szwajcaryi. Bawiło tam wtedy spore grono Polaków studentów, związane stosunkami zażyłej przyjaźni. Grono to spotykało się na posiedzeniach Towarzystwa polskiego, na zebraniach u professora Kallenbacha, znanego badacza Mickiewicza i znakomitego historyka literatury polskiej. Jak nas zapewnia jeden z bliskich znajomych dra Rakowskiego, już wtedy odznaczał się tenże niezmiernie żywym temperamentem w dyskusyach i żyłką polemiczną, która następnie uwydatniła się w nim jako w dziennikarzu.

W roku 1895 spotykamy p. Kazimierza Rakowskiego w Berlinie, gdzie niezmiernie pilnie poświęca się studyom ekonomiczno społecznym pod kierownictwem Schmollera, Wagnera i innych. Nie przeszkadza mu to jednak oddawać się z całem zamiłowaniem życiu koleżeńskiemu w „Towarzystwie naukowem Polaków“, którego kilkakrotnie był prezesem. Wreszcie władza uniwersytecka zapomocą znanego reskryptu ministeryalnego zniewoliła go do wystąpienia z Towarzystwa, którego był jednym z najgorliwszych członków, mając zawsze w pogotowiu odczyty literackie lub ekonomiczne.

Zapoznawszy się z ubogą warstwą ludności polskiej, w Berlinie zamieszkałą, dokłada dr. Rakowski wszelkich starań aby krzewić oświatę wśród sfer uboższych i czas jakiś do spółki z przyjacielem, jak się zdaje panem W., prowadzi szkółkę dla dorosłych, ucząc ich czytać, rachować, historyi polskiej, nie odstraszając się nieprzyjemnościami ze strony policyi. W roku 1896 Towarzystwo robotników katolickich w Berlinie ofiarowuje mu w uznaniu jego zasług dyplom na członka honorowego.

„Obok mego dyplomu doktorskiego, na który sobie sam zapracowałem, ten dyplom jest mi najdroższym, mówił do piszącego te słowa niegdyś dr. Rakowski, — bo w tym dyplomie widzę i wspomnienie mej szczerej pracy i dowód, że nie poszła ona w zapomnienie.“



Dr. Kazimierz Rakowski.

Z tej to epoki datują pierwsze prace dr. Rakowskiego, mianowicie kilkanaście obszernych referatów i krytyk w fachowych czasopismach ekonomicznych niemieckich. Równocześnie zaczyna świeżo wówczas założona „*Praca*“ drukować fachowe artykuły p. Rakowkiego. W pierwszym numerze „*Pracy*“ znajdujemy już artykuł jego pióra. Krótko przed zwinięciem „*Przeglądu Poznańskiego*“ pojawiały się tam literackie artykuły dr. Rakowskiego. Do pracy dziennikarskiej wziął się p. Rakowski jednakże na dobre dopiero od czasu założenia „*Dziennika Berlińskiego*“, przyczem jego krewki temperament i żyłka polemiczna nieraz uniosły go za daleko — lecz pióro się coraz wyrabiało, sąd dojrzewał, a wreszcie artykuły dr. Rakowskiego, pojawiające się luźno w „*Słowie Polskiem*“ we Lwowie, zwróciły uwagę i wywołały bardzo głośne echo w prasie wielkopolskiej.

W roku 1897-ym usunąwszy się z „*Dziennika Berlińskiego*“, założył dr. Rakowski własne pismo dwutygodniowe „*Kuryer-handlowo - przemysłowy*“ i z niemałemi walcząc trudnościami potrafił wydawać je przez półtora roku, t. j. dopóki nie zostało wcielone do „Pracy“, której kierownictwo naczelne powierzonem zostało mu w Marcu r. b.

Kilka tygodni temu wyszła w drugiem wydaniu jego rozprawa doktorska w niemieckim języku: „*Entstehung des Grossgrundbesitzes im XV u. XVI. Jahrh. in Polen*“, która uzyskała aprobatę uniwersytetu berlińskiego.

Autor słów niniejszych miał przyjemność kilkakrotnie być gościem w domu p. dra Rakowskiego: zwróciły moją uwagę trzy tomiki, które obok siebie leżą na jego stole: „Echa protestu“, broszura polityczna, z ogromną werwą i ogniem napisana, oświetlająca położenie polityczne Księstwa z przed 2 lat, — dalej „Kalendarz handlowo-przemysłowy“ jedyne w swoim rodzaju dziełko, którego całkowite 3 tysiączne wydanie zostało w ciągu 3-ch miesięcy wyczerpane ze względu na szereg popularnych ekonomicznych artykułów, a wreszcie — uczona doktorska rozprawa. Te trzy rzeczy charakteryzują człowieka: jego gruntowne wykształcenie naukowe, jego praktyczny zmysł kupiecki, a wreszcie cięty sąd polityczny, nierzadko niedobierający dróg ubocznych dla wypowiedzenia tego, co się ciśnie pod pióro. W późniejszym czasie nieznać było już w artykułach dra Rakowskiego, które zawsze jeszcze podpisywał imieniem Kazimierza Radwana (herb), tej krewkości pierwotnej, która go naraziła nieraz na ostre polemiki z gazetami odmiennego zdania.

Odwiedziłem go w ostatnim dniu przed wyjazdem. Kufry, kuferki, meble nawpół opakowane zapełniały pokoje — a w pośrodku tego wszystkiego — dr. Rakowski z miną rozpaczliwą, szukający czegoś w pośród starych zeszytów.

„Szukam mego zbioru wycinków z gazet, które mnie niegdyś ze skóry żywcem obdzierały — chcę przecież zabrać tę pamiątkę ze sobą“.

— „Niech się Doktór pocieszy, wtrąciłem, tylko nieco dawnej satyry i zjadliwego pióra — a stratę Pan powetuje w paru tygodniach.“

Uśmieliśmy się z tego obaj, choć jemu nie śmiech, ale wściekłość bym wybaczył w tej rozpaczliwej sytuacyi, gdzie w ciągu dni paru musiał nagle opuszczać stałe zajęcie, zwinąć dom, szukać nowej siedziby i kawałka chleba.

Przyjaciel.

Uwagi o Galicyi.

Wpadł mi niedawno do ręki numer pewnej amerykańskiej gazety polskiej, w której znalazłem artykuł o Galicyi, napisany z powodu znanych tragicznych wypadków w kasie oszczędności i z powodu innych malwersacyi, zakończonych samobójstwami jednych, ucieczkami innych defraudantów. W artykule tym znalazłem tak bezwzględne, tak nielitościwe odsądzenie od czci i wiary Galicyi wogóle, a każdego jej mieszkańca w szczególności, że wydało mi się niemal komplementem dla Galicyan wystąpienie owego pisma, które oparło się sprowadzeniu zwłok Słowackiego do kraju, bo do komitetu należeli Galicyanie. I mimowoli nasunęło mi się pytanie, czy nie zadaleko posuwamy się dziś w krytykowaniu biednego kraju?

Weszło dziś już niemal w modę prawić na temat „panamy galicyjskiej“ perory o braku poszanowania grosza publicznego, o podERwaniu kredytu, o gorączce spekulacyjnej i tylu a tylu innych wadach społecznych, których uosobnieniem stała się nagle Galicya.

Myślący człowiek mimowoli zapytać się musi w duchu, ile w tem wszystkiem jest prawdy — a następnie — jeśli wszystko jest prawdą — ile w tem wszystkiem jest słusznych wyrzutów. Informacye czerpiemy z gazet.

Gdy się ma do czynienia z prasą, nie trzeba nigdy zapominać, że jej poglądy, czyli t. zw. „opinia publiczna“ bardziej jeszcze niż wszelkie inne objawy społeczne jest wynikiem bardzo złożonych, skomplikowanych przyczyn, z których poszczególne tylko są jasne na pierwszy rzut oka, inne zaś starannie ukryte za kulisami.

Znaczy to, że gdy żydowsko-niemiecka prasa w Austryi nie znajduje dość słów na scharakteryzowanie „barbarzyńskich stosunków“ w Galicyi, to kieruje nią chęć zachwiania politycznego stanowiska Polaków w Austryi. Innego rodzaju pobudki doprowadzają prasę w Niemczech do wystawiania „panamy galicyjskiej“ w najczarniejszych barwach, a mianowicie dążenie do wytknięcia Polakom w obrębie Prus, że Bismark się nie mylił, gdy twierdził, że Polacy nie są zdolni do rządzenia samymi sobą. Gdy więc tak okiem rzucimy na głosy prasy zagranicznej, wszędzie znajdziemy tendencyjnie, wynikające z interesu rozdymanie wypadków do rozmiarów niebywałych.

Bezustanne pastwienie się naszej opinii publicznej nad sprawami jeszcze nawet nieosądzonemi jest nietylko smutnem, ale dowodzi, że u nas t. zw. opinia publiczna jest bardzo niewyrobiona i mało krytyczna, właściwością jej bowiem jest to, że przejmuje ona z rąk obcych — gotowe wnioski i sądy, a nie docieka do przyczyn i krytycznej ich nie poddaje ocenie. A tymczasem jeśli nie skądinąd, to ze strony swoich Galicya miała prawo spodziewać się choć surowego, lecz sprawiedliwego sądu.

Gdy oskarżonego mają sądzić, pytają go poprzednio o wiek i koleje losu. Wydając zaś bezwzględne sądy o Galicyi nikt o dotychczasowe losy tego kraju się nie pyta.

Gdy oskarżonemu odczytują akt oskarżenia, zapytuje się go sędzia: co cię nakłoniło do przestępstwa? Galicyi zaś codzień odczytują akt oskarżenia, a nikt się nie zapyta, jakiego to rodzaju czynniki społeczne złożyły się na smutne fakta: bo jedno jest pewnikiem, a mianowicie, że chociaż wykroczeń dopuściły się jednostki, grunt jednak musiał być podatny dzięki społecznym warunkom.

Galicya to kraj, w którym długi czas gospodarzyła biurokracya niemiecka, sztucznie opóźniając rozwój ekonomiczny i intellektualny. Kraj ten ze wszystkich prowincyi rozbiorowych zapewne najmniej rozwinięty a przez rządy Metternichów i Beustów jeszcze bardziej zubożały i zacofany, dostał się pod komendę polityczną stronnictwa, które w ciągu długich lat dbało tylko o siebie i uważało go niemal za swą prywatną synekurę. Gdy wreszcie rozpoczął się okres liberalniejszy samorządu wszystko nagliło: i szkoła ludowa, i emigracya, i nędza, i zastój w przemyśle, w handlu i odłużenie powszechne, i brak komunikacyi, i analfabetyzm. I do takiego to kraju, cała Polska jak jeden mąż, wołała: Wy jedni, szczęśliwcy, macie samorząd, macie możność pracowania bez przeszkód — więc pokażcie, do jakiego stopnia kultury dojść byśmy mogli, gdyby nam rąk nie wiązano!“

I Galicya temi głosy podbudzana jęła się pracy od razu w dziesięciu kierunkach: i w zwalczaniu lichwy i w kształceniu fachowem rzemieślnika, i w organizowaniu oświaty ludowej i w tworzeniu spółek.

Wszystko to było dobre, lecz praca zanadto była rozstrzelona i braknąć musiało ludzi do pełnienia tylu otwierających się funkcyi. Społecznego i ekonomicznego przekształcenia kraju niepodobna dokonać w ciągu lat kilku. Przekształcenia takie muszą być oparte na trwałych fundamentach całego pokolenia ludzi przygotowanych i wychowanych w celu spełnienia tych funkcyi społecznych. Brak tych ludzi prowadzić musi do zgrupowania całego szeregu urzędów w jednem ręku i wynik tego jest — brak kontroli, jak to było w tylu a tylu niedawno odkrytych sprawach.

I przemysłu też nie można wydobyć nagle jak gdyby czarodziejską różdżką z ziemi: musi on powoli się organizować opierając się na wspólności dążeń całej klasy lub całego społeczeństwa; musi on być niejako osadem pracy społecznej w danym kierunku. Z pewnikiem tym rozminęli się w praktyce ci, co sądzili, że genialnością jednostek zastąpić się da gruntowna praca społeczna. A wynik tego taki: gorączka spekulacyjna, rwanie się do pracy w rozmaitych kierunkach równocześnie, brak kredytu i wieczne balansowanie nad przepaścią — a wreszcie... upadek.

W tych warunkach zawsze by się to samo powtarzać musiało. Tego czynnika spuszczać z oka nie można — są to bowiem przyczyny tkwiące głęboko w historycznym rozwoju całego kraju. Bez ich uwzględnienia i zrozumienia niepodobieństwem jest ocenić a tem mniej osądzić pojedyńcze fakty, które na pierwszy rzut oka wydawać się mogą wynikiem woli i samowiedzy jednostek, w głębi rzeczy zaś są wynikiem całego społecznego środowiska.

Te wszystkie rzeczy, które się działy w Galicyi byłyby niemożliwe np. w Królestwie, nie dla tego bynajmniej, aby tam miało niebyć urzędników niesumiennych, doradców czyhających na zagrabienie majątku im powierzonego, bankowców gotowych do spekulacyi i spekulantów, dążących różnemi drogami do osiągnięcia zysków, — ale dla tego, że tam byłoby dość ludzi dla zajęcia stanowisk wybit-



Przenajświętsza rodzina w drodze do Egiptu.

niejszych, przez co żadnego wybitniejszego człowieka nie uważanoby za półboga wolnego od zdawania sprawy i kontroli; — dalej dla tego, że tam dla urzeczywistnienia genialnych projektów znalazłyby się kapitały i podatny teren finansowy, nie zmuszający przedsiębiorców do szukania dróg ubocznych a karygodnych.

Od Galicyi żądano naraz zawiele. Chciano kraj ten na wyższe szczeble rozwoju posunąć, zanim dobrze stanął na niższych.

Wartoby się zastanowić nad tem, o ile przyczyniły się do tego nagabywania z innych dzielnic Polski, aby Galicya, jako jedyna prowincya polska ciesząca się samorządem, pokazała co my możemy zdziałać dla cywilizacyi, gdy nam się ręce pozostawi wolne!

Tymczasem Galicya ani potrzebnej siły finansowo-kredytowej, ani oświaty, ani dojrzałości społecznej szerokich warstw nie posiadała: ztąd też wynikać musiała uderzająca nierównomierność jej rozwoju, dająca obok największej liczby analfabetów — wzorowo zaprowadzone stowarzyszenia, obok dość ożywionego ruchu literackiego — najuboższych zagłodzonych nauczycieli szkół ludowych, obok zasiadających na najwyższych posadach państwowych obywateli — najciemniejszego chłopa ze wszystkich prowincyi polskich. Ztąd wyrodziło się dążenie do zrobienia drugiego kroku, zanim się zrobi pierwszy.

Dziś, gdy w szeregu smutnych i pożałowania godnych faktów obnażył się brak fundamentów, brak gruntu, brak mocnego społecznego podkładu w rozwoju, dziś nie czas nam rzucać kamieniem potępienia na braci. Dziś raczej należy z wyrozumiałością człowieka, wnikającego w przyczyny objawów społecznych, ulżyć ciężaru uginającym się barkom, dodać otuchy do dalszej pracy, wskazać drogę powolnego, lecz gruntownego rozwoju, jako jedynie stosowną i towarzyszyć postępom na tej drodze przypomnieniem łacińskiego przysłowia: *festina lente*)*.

Kazimierz Radwan.

*) Idź bez pośpiechu — a zajdziesz daleko.

Polacy w Prusach Zachodnich.

IV.

Z kolei przypada przedstawić rozliczne stowarzyszenia polskie w Prusach zachodnich a są tu: przemysłowe, rolnicze, robotnicze, śpiewackie, gimnastyczne, czeladzi rzemieślniczej, rozmaite dobroczynne, wreszcie i jedno naukowe w Toruniu.

W towarzystwa zawiązywać się poczęła tutejsza ludność polska, natychmiast po nadaniu konstytucyi pruskiej. Wnet przecież nastały rządy reakcyjne, które co prawda swobód konstytucyjnych skreślać nie mogły, lecz wydawanemi przepisami policyjnemi, tak je ścieśniały, że zażywanie tych swobód stawało się trudnem, ciasnem a wreszcie nieznośnem. Towarzystwa upadały więc w całej monarchii, polskie tak samo. Z biegiem czasu przeszkody te ustawać musiały, a wtedy i ludność polska zaraz z prawa do stowarzyszania się i zgromadzania korzystała skwapliwie. W ostatnich paru latach liczba towarzystw różnorodnych znacznie się u nas powiększyła. Dla wszystkich zawodów, warstw społecznych, są już zjednoczenia, w nich zaś pouczenia fachowe dla rolników i przemysłowców, opieka dla młodzieży, zabawa dla niej, pomoc wielostronna dla potrzebujących, dla wszystkich zaś przypomnienie i dowód widoczny, że nie stoją sami jako jednostki, ale raczej należą do wielkiej gromady o wspólnych potrzebach i dążnościach, ale też i o wspólnych niewątpliwych prawach i obowiązkach, w których spełnianiu jeden drugiemu bywa pomocnym, niedostatki wzajemnie nagradzając.

Mimo konstytucyjnie uregulowanych przepisów o towarzystwach i zgromadzeniach publicznych, do których się właśnie polska ludność skrupulatnie stosuje, tyle bywa czynionych w tem trudności, tyle przeszkód i zakazów, tyle postępowania odmiennego od postępowania z towarzystwami niemieckiemi, że potrzeba zaiste silnego przekonania o dobrem swojem prawie i o potrzebie obrony własnej, aby rąk nie opuścić i prawo swoje, z niem zaś i tak doniosły czynnik cywilizacyjny, jakim są stowarzyszenia i zgromadzenia w państwie konstytucyjnem, rzucić na pastwę woli i sile nam przekornej. Co się tu nie dzieje, a jednak stowarzyszenia mnożą się, rozwijają się i znaczenia im przybywa. Walka o te prawa wyrabia siły i uczy śmiało patrzeć w oczy przeciwnościom i spokojnie a legalnie odpierać natarczywe zakusy.

O towarzystwie naukowem w Toruniu, założonem w r. 1875 i przechowującem bardzo cenne i do osobliwości należące zbiory muzealne, szczególnie wykopaliskowe, to jeszcze zapisać należy, że właśnie w ostatnim roku zerwało się z kilkoletniej bezczynności, liczbę członków swoich podniosło do 226 (w tem 116 księży) i wydało właśnie czwarty swój rocznik z cennemi rozprawami językowemi i historyczno-ekonomicznemi, w dodatku zaś publikacyę źródłową z akt kościelnych, a mianowicie wizytacyę biskupa Rozrażewskiego w r. 1582. Sprężysta pracowitość nowowybranego prezesa, ks. Kujota, znanego z licznych publikacyi historycznych nie pozwoli zasnąć na nowo.

W Prusach zachodnich, wychodzą dwa polskie pisma codzienne — „Gazeta Toruńska“ i „Gazeta Codzienna“ w Toruniu, oraz cztery trzy razy w tygodniu wydawane: „Przyjaciel“ w Toruniu, „Gazeta Grudziądzka“ w Grudziądzu, „Pielgrzym“ w Pelplinie i „Gazeta Gdańska“ w Gdańsku. Nadto „Przewodnik“ w Copotach. Prawie do każdego dołączane bywają dodatki tygodniowe, treści religijnej, powieściowej i gospodarskie, do „Pielgrzyma“ nawet pisemko dla dzieci. Wszystkie te pisma mają kierunek ludowy i w tonie swoim potrzebom i rozumieniu ludu starają się czynić zadosyć, pielęgnując w nim religijność, i zdrowy zmysł polityczny oraz siły do spotykania się z trudnościami życia. Lud też do czytania dzienników przyzwyczaił się dość powszechnie, sam je sobie abonuje.

Dla prasy polskiej przypadł w r. 1898 jubileusz pięćdziesiątletni. Dnia 2-go lipca 1848-go roku bowiem wydano w Chełmnie, pierwszy numer pierwszego pisma polskiego w Prusach zachodnich pod rządem pruskim. Była to „Szkółka narodowa“, tygodniczek półarkuszowy formatu małej ćwiartki. Redaktorem był ks. lic. Knast, katecheta gimnazyum chełmińskiego. Wnet też powstała w temże Chełmnie drukarnia polska Józefa Gółkowskiego, również pierwsza z prowincyi pod rządem pruskim. Z tego małego wydawnictwa rosło więcej a więcej, aż do dzisiejszego stanu wyżej przedstawionego. Drukarni polskich liczy się dzisiaj 8 w Prusach zachodnich.

Będzie też i to tutaj na miejscu, gdy dodam, że dalej ku północy, już w Prusach wschodnich dawniej Książęcemi zwanych, bo w Olsztynie na Warmii, wychodzi od lat dziesiątka przeszło „Gazeta Olsztyńska“ dla dobra tamtejszej krańcowej ludności polskiej, a tej w kontr „Warmiak“, również tygodnik, wydawany staraniem niemieckiego duchowieństwa katolickiego. Głębiej jeszcze na północo-wschód wychodzi w Ełku tygodnik po polsku szwabachą drukowany dla Mazurów ewangelików. Oba te pisma nie są bez znaczenia dla żywiołu słowiańskiego wogóle, a dla Prus zachodnich w szczególności.

W ostatnich dwunastu miesiącach do daty dzisiejszej (początku lipca 1898 r.) nie zaszło pomiędzy nami w Prusach zach. nic, coby na położenie nasze, ku złej lub dobrej stronie większego było znaczenia. W roku 1897 wielkie nadzieje rolników na widok bujnego rozwoju zboża w porze wiosennej, spalił żar słoneczny, resztę zaś zniszczyły pluskotliwe żniwa. Nagradzała to w części wysokość cen, która krótko przed wojną amerykańską do niebywałej dochodziła wysokości. Szkoda, że nie wielu już miało co sprzedać.

Wybory sejmowe, pruskie i niemieckie, dawały się w powiatach świeckim, kościerskim i w starogardzkim uciążliwie wyborcom polskim we znaki swem powtarzaniem i rozkołysaniem namiętności plemiennych. Posądzono nawet wyborców polskich w powiecie świeckim o zabójstwo nauczyciela Grüttera, Niemca, więziono kilku mularzy Polaków, aż wreszcie po miesiącach przed sądem się wykazało, że chodziło o zwykłą bójkę, którą Grütter sam wywołał, następnie zaś uchodząc, wypadł z woza kolejowego i śmierć przez to znalazł. Trzeba więc było w końcu zaprzestać krzyku na polskich morderców.

W Świeciu zdobyliśmy w czwartem skrutynium wyborczem, jeden mandat do parlamentu niemieckiego, natomiast straciliśmy w Starogardzie mandat poselski do sejmu pruskiego. Wielki z tego tryumf po stronie niemieckiej, a większy jeszcze po ogólnych wyborach do parlamentu, gdy straciliśmy aż 4 mandaty w Prusach zachodnich.

Nie wiem, gdzie czytałem to, co mi się teraz przypomina. Oto gdzieś w odwiecznych lasach sadowiący się koloniści, budując sobie schroniska, ścięli dla krótszego wierzchołki drzew, a odziomki pozostawili na korzeniach i użyli za słupy do swojej budowy. Aliści po znacznym czasie, ściany poczęły trzeszczeć a dach zapadać, że w nocy ratować się było trzeba. Odrastać bowiem poczęły pnie nibyto martwe...

Ignacy Danielewski.

Z TYGODNIA.

W ubiegłą sobotę ogłoszono w Rennes wyrok skazujący Alfonsa Dreyfusa na dziesięcioletnie więzienie przy uwzględnieniu okoliczności łagodzących.

Wyrok zapadł pięcioma głosami przeciw dwom.

W przeddzień wyroku kazał cesarz Wilhelm ogłosić w urzędowej części „Reichsanzeigera“ komunikat, w którym stwierdzono w najuroczystszej formie, gdyż z powołaniem się na czyny i słowa ściśle urzędowego charakteru, iż rząd niemiecki za pośrednictwem żadnego z organów swoich nie miał nigdy stosunków bezpośredniah ani nawet pośrednich z Dreyfusem.

Nie pomogła w ostatniej chwili nawet interwencya „Reichsanzeigera“.

Przebiegając pamięcią pod pierwszem wrażeniem historyę ubiegłego procesu, wyznać musimy, że z rozwoju sprawy wynikał koniecznie wyrok taki, a nie inny. Przez cały czas trwania procesu Dreyfus nie znalazł ani jednego silniejszego argumentu nad gołosłowne zapewnienia o swej niewinności i różne gołosłowne zarzucania kłamstwa świadkom oskarżenia. Stronników niewinności Dreyfusa musi też chyba uderzyć i sam fakt, że ekskapitan, rozporządzający tak potężnemi środkami obrony, nie był w stanie zdobyć przez tyle lat ani jednego decydującego dowodu swej niewinności, prócz dowodów ujemnej natury. Tylu ministrów kolejno twierdziło stanowczo o winie Dreyfusa, tyle osób, dotykając tajnego „dossier“, wynosiło to samo przekonanie i teraz znów drugi z kolei sąd wydaje wyrok potępiający. Być może, iż dla przeciętnej publiczności i w obecnym stanie pozostaną niektóre punkty niewyjaśnione, ale też nikt nie wątpi, że mimo sążnistych sprawozdań i zadrukowanych całych płacht paryzkich, istotna treść procesu tkwiła w posiedzeniach tajnych.

A teraz wypada zapytać, czy koniec już Dreyfusyady? Takby się zdawać powinno. Stało się wszak zadość życzeniu rewizyonistów: mieli i rewizyę i wyrok powtórny. Ale czy tak będzie? Możnaby prawie zaręczyć, że burzyciele spokoju w Francyi nie ustaną w swej działalności i czerpać będą dalej z niewyczerpanego źródła sensacyi. Zaczną się zatem różne rewelacye, a może i przygotowania do nowej rewizyi.

Już zawczasu obrońcy Demange i Labori zapowiadali wniesienie skargi rewizyjnej, przygotowując do niej materyał w 27 punktach, z których najważniejszym miał być ten, że niektórzy świadkowie odczytywali swoje zeznania, na co rzekomo nie pozwalają przepisy procedury. Jeden z dziennikarzy paryzkich miał rozmowę z adwokatem Mornardem, aby dowiedzieć się, jakie środki przysługują jeszcze Dreyfusowi wobec przewidywanego skazania. Otóż jednym z tych środków ma być rekurs do sądu wojskowego („Conseil de revision“), składającego się z siedmiu oficerów pod prezydencyą generała dywizyi; drugim środkiem byłoby zażalenie nieważności przed trybunałem kasacyjnym, trzecim wreszcie rewizya na zarządzenie ministra sprawiedliwości. Jednym z powodów do orzeczenia nieważności mogłoby być przekroczenie kompentencyi przez sąd wojenny w Rennes, gdyż sąd ten jakoby rozstrząsał kwestye przesądzone przez sąd rewizyjny. Wreszcie rewizya mogłaby być zarządzona, gdyby okazał się jaki nowy fakt.

Obrona zatem rozporządza całym wielkim aparatem, z którego zapewne skorzysta, już bowiem zachowanie się obrońców na ten ich zamiar wskazywało. Demang bronił słabo, a Labori prawie że się cofnął w ostatniej chwili.

A więc pomimo ponownego skazania Dreyfusa, może to nie ostatni akt „Dreyfusyady“. Czy tylko rzeczpospolita to wszystko wytrzyma i czy uwaga publiczna nie została już do dna wyczerpana? Życzyćby też należało, aby nad sprawą Dreyfusa nareszcie po wyroku w Rennes zapadła zasłona.

Z Paryża donoszą:

Pogłoska o rzekomem zamknięciu księcia Orleańskiego w twierdzy Guérina przy ul. Chabrol — jakkolwiek sama w sobie wysoce awanturnicza i nieprawdopodobna — znajduje powoli pewien grunt wśród paryzkiego pospólstwa.

Ale nietylko pospólstwo, niektóre gazety także zaczynają uważać legendę o młodym Orleanie, za prawdopodobną „w pewnych warunkach“.

Przytaczają całe masy argumentów.

Niesłychany, zacięty, prowadzący do absurdum opór Guérina daje wiele do myślenia. Gdyby p. Guérinowi szło o to tylko, ażeby on sam nie dostał się w ręce policyi, opór ten byłby wprost śmieszny. Wszakże wie, że tak czy inaczej policyi i sądów nie uniknie. Więc czemuż trwa w swoim oporze? czemuż organizuje usiłowania ucieczki? Czy to nie szaleństwo?

Chyba że ukrywa w swej „twierdzy“ jakąś „polityczną figurę“.

Jaką? — Gazety każą zapytać księcia de Luynes, alter ego księcia Orleańskiego, który teraz napróżno poszukuje swego pana w Szwajcaryi, Belgii i Austryi...

W obecności licznych członków ciała dyplomatycznego i wielu sprawozdawców dziennikarskich rozpoczął się dnia 9-go b. m. w Belgradzie proces w sprawie zamachu na króla Milana i uknucia sprzysiężenia.

Po załatwieniu formalności wstępnych przystąpiono do odczytania obszernego aktu oskarżenia. Początek tegoż zawiera zebranie znanych szczegółów samego wykonania zamachu.

W ciągu śledztwa wyjawił Knezewicz moralnych sprawców, którzy go do czynu skłonili; między nimi znajdowała się jedna nieznana mu osobistość, którą mu wskazano jako Piotra Karageorgowicza.

Spiskowcy zapewnili mu bezkarność jego czynu, przyrzekając, że jakkolwiek dostałby się do więzienia, będzie wypuszczonym na wolność, skoro nastąpi zmiana tronu na rzecz Karageorgowicza, jako bezpośrednie następstwo udanego zamachu.

Akt oskarżenia żąda pociągnięcia do odpowiedzialności 29-ciu z powodu dopuszczenia się zdrady stanu, a oprócz tego Knezewicza z powodu usiłowanego morderstwa, a Proticza z powodu obrazy majestatu i przestępstw prasowych.

W więzieniu belgradzkiem powiesił się były prefekt Szabacu, Angielic, który należał do najciężej skompromitowanych w procesie o zamach morderczy na króla Milana. Przywołani natychmiast lekarze stwierdzili samobójstwo. Angielic zostawił listy do swojej żony i swego brata, w których powiada, iż odbiera sobie życie, nie mogąc przeżyć hańby, jaka spada na niego i chcąc zapewnić swojej żonie przynależną jej pensyę wdowią.

Z Johannesburga donoszą do „Timesa“, że stracono tam wszelką nadzieję pokojowego załatwienia obecnego przesilenia.

Swieżo odbyła się w Londynie rada ministeryalna, która trwała $2^1/_2$ godziny. Zapewniają, że wynikiem jej jest wysłanie do Transwaalu bardzo energicznej depeszy. Słychać, że 10,000 wojska odchodzi niebawem do południowej Afryki. Licznie zgromadzona publiczność witała gorąco ministrów, zwłaszcza Salisburego, gdy opuszczali pałac ministerstwa spraw zagranicznych.

Podczas gdy Anglia zabiera się do wojny z Transwaalem, zaszedł nagle ważny wypadek w Afganistanie, który w Londynie narobi trochę kłopotu. — Z Lahory donoszą mianowicie o starciu pomiędzy sirdarem Mahometem Izmaiłem chanem, synem chana Isa oraz wojskiem emira Nur Mahometa. Chan Izmaił zbiegł w końcu. Ojciec chana Izmaiła jest pretendentem do afgańskiego tronu i żyje w Bokharze, pobierając żołd z Petersburga. Emir Abdur Rahman szwankuje na zdrowiu, więc nadchodzi chwila, gdzie Anglicy pilnie muszą strzedz bram, prowadzących do Indyi. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Wypowiedziana żywiołowi polskiemu w Poznańskiem przez hakatystów walka ekonomiczna zmusiła społeczeństwo do wytężenia wszystkich sił celem obrony bytu materyalnego, a naturalnym skutkiem tego, jest zaniedbanie pracy umysłowej. To też pod tym względem stosunki są u nas w Poznańskiem opłakane. Jeżeli pominiemy Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które stara się zachować tradycyę świetniejszej epoki minionej i głównie dzięki staraniom konserwatora swego muzeum, dr. Bolesława Erzepkiego, daje w swych publikacyach znaki życia, ruch naukowy i literacki w W. Ks. Poznańskiem tak dobrze jak nie istnieje. Gdzie chodzi o byt lub niebyt, tam zagadnienia choćby najważniejsze, jeżeli nie dotyczą stosunków miejscowych, nie budzą zainteresowania; tutaj nie ma czasu i spokoju na mozolne studya naukowe, i nie ma swobody umysłu, która pozwala rozkoszować się pięknem poezyi. To też w oficynach poznańskich drukują się przeważnie tylko dzieła popularne i religijne; dzieła szerszego znaczenia wydane w ostatnich 30 latach możnaby policzyć na palcach. Także prasa zajmuje się tylko polityką, zaniedbując zupełnie literaturę.

Dla tego też na porządku dziennym są sprawy praktyczne, polityczne lub ekonomiczne. — Zupełnie trafnie charakteryzuje ten kierunek umysłów korespondent poznański **„Gazety Polskiej“** w Warszawie:

„Utworzyło się w Poznaniu Towarzystwo z celem obrony hodowców bydła przed wyzyskiem odbiorców i stratami, wynikającemi z dziwacznych i szkodliwych przepisów weterynaryjnych rządu. Towarzystwo jest mieszane. Należą do niego Polacy i Niemcy, obrady i publikacye odbywają się w obu językach.

„Równocześnie poruszono myśl utworzenia Towarzystwa, któreby obroniło szwaczki przed wyzyskiem niesumiennych kupców, zwłaszcza żydowskich. Położenie kobiet, zajmujących się szyciem, mianowicie bielizny, jest opłakane. Uczennice konfekcyi damskiej przez rok nauki nie otrzymują ani grosza zapłaty, następnie zaś pobierają pensyę w sumie 6—10 marek miesięcznie. Najzdolniejsza krawcowa dochodzi po 10 latach, co najwyżej do 30 marek pensyi miesięcznej. Daleko gorzej jeszcze są płatne szwaczki, zajmujące się szyciem bielizny dla składów. Skutkiem wielkiej konkurencyi, przedsiębiorcy obniżają stale płacę i skazują swoje robotnice po prostu na głód. Za tuzin koszul damskich np. przedsiębiorca płaci 2 marki, za tuzin wytwornych 3 marki, za tuzin kaftaników 2,50 do 4 mk. Szwaczki te — a jest pomiędzy niemi wiele kobiet, zniewolonych dopomagać mężom do wyżywienia rodzin, i wiele wdów — nie zdołają uszyć dziennie więcej niż 5 koszul, pracując pilnie od rychłego rana do późnego wieczora. W najlepszym więc razie zarabiają 1,25 mk. dziennie, ale od tego zarobku trzeba jeszcze odliczyć koszta nici, które muszą kupować za własne pieniądze. Wyzyskowi temu może zapobiedz tylko połączenie się wszystkich interesowanych do wspólnej obrony przed żydowskimi przedsiębiorcami i właścicielami „bazarów“. Pierwsze kroki w tym kierunku już poczyniono. Niestety trudno zapewne będzie pozyskać dla towarzystwa wszystkie osoby utrzymujące się z szycia, bo obawa przed utratą zupełnego zarobku powstrzyma niejedną od udziału.“

Aby dać czytelnikom naszym pojęcie do jakiej zaciekłości dochodzi hakatyzm w zwalczaniu naszego języka, przytaczamy poniżej wyjątek z organu Hakaty, wychodzącego w Berlinie p. t. **„Ostmark“**. Nikt też ani się dziwić, ani za złe brać Polakom w Poznańskiem nie może, jeśli w rzeczy samej działalność na polu ekonomicznem stawiają na naczelnem miejscu. Otóż ta **„Ostmark“** pisze:

„Tu się mówi po niemiecku!“ — taki napis powinien być umieszczony przy wejściu do biura każdej władzy na kresach wschodnich. Ale zdaje się, że wkrótce zajdziemy tak daleko, iż będzie zamieszczony napis: „Tu się mówi chętnie po polsku!“ Przynajmniej w nowszym czasie zachodzi w zastraszający sposób coraz więcej przypadków, że władze poszukują urzędników biurowych, mówiących po polsku. Tak np. magistrat w Nakle poszukiwał asystenta kasowego i ogłosił, że pierwszeństwo mają kandydaci, władający językiem polskim. Czyż można się dziwić, że Polacy, władający językiem niemieckim i polskim, coraz większą nad Niemcami zyskują przewagę ekonomiczną? Życzenie wiceprezesa ministerstwa stanu, p. Miquela, żeby wszyscy Niemcy w Księstwie Poznańskiem rozumieli po polsku, ma pewnie najpierw u władz wejść w praktykę? Przez praktykę doznałaby niemieckość tysiąc razy więcej szkody, niż jej pomogą wszystkie „środki kulturne“.

Wobec powyższych zapatrywań słusznie zauważył **„Kuryer Poznański“**:

„Szkoda, że los był tak nienawistnym dla redaktora „Ostmark“, iż nie postawił go na stanowisku p. Miquela. Możeby natychmiast kazał dymisyonować wszystkich urzędników w Ks. Poznańskiem, którzy władają językiem polskim, albo przynajmniej wysłałby ich do kolonii w Afryce. Gdyby w Ks. Poznańskiem nie było żadnego urzędnika mówiącego po polsku, powstałyby ztąd zapewne takie stosunki, że dotychczasowi najserdeczniejsi przyjaciele „Ostmark“ głośniej domagaliby się tego, żeby urzędnicy uczyli się po polsku, niż teraz się domagają wytępienia języka polskiego. Ze potrzeba urzędników, mówiących po polsku, to przecież jest rzeczą tak samą z siebie zrozumiałą, że gdyby po dziś dzień szowinizm nie był w modzie, powątpiewanoby o rozumie tego, który przeciwne wygłasza zdanie.“

Niewątpliwem jest, że walka z hakatyzmem ma swe dobre strony, gdyż uczy lud stać twardo przy sztandarze narodowym i zajmować się najważniejszemi sprawami ogół obchodzącemi; — z drugiej jednak strony niepodobna jest zaprzeczać, że niedbałe traktowanie rzeczy niemających z walką o byt bezpośredniej styczności, a jednak niemniej ważnych, jak np. literatura i sztuka ma swe złe strony. Trzeba wyznać, że niestety, co do czystości języka polskiego dużo usprawiedliwionych zarzutów dałoby się skierować przeciw Poznańskiemu.

Lecz i inne dzielnice Polski grzeszą pod tym względem, jak się przekonać możemy z poniższgo artykuliku warszawskiej **„Biesiady Literackiej“**:

„W jednem z pism czytałem pożądaną bardzo wiadomość, że „w Galicyi stosunki poprawiły się na lepsze“. Ponieważ jednak nic na świecie nie może poprawić się na gorsze, należało więc, nie popełniając śmiesznego pleonazmu, napisać po prostu: „w Galicyi stosunki po

prawiły się", albo: „w Galicyi stosunki zmieniły się na lepsze."

„W liście znów ze Lwowa do tegoż pisma korespondent donosi, że założono tam kursy „pożarnictwa". Ma to znaczyć, iż na kursach tych uczą umiejętnego używania narzędzi ogniotrwałych, przy gaszeniu pożarów. Dobrze; lecz czyby nie można innego na to obmyśleć wyrażenia? Rzeczownik bowiem „pożarnictwo" nasuwa raczej myśl o tworzeniu, niż o gaszeniu pożarów, tak samo, jak naprzykład „powroźnictwo" jest umiejętnością wytwarzania powrozów.

„Nietylko na tak zwanych z niemiecka szyldach, po polsku zaś znakach, nietylko na drzwiach pracowni, lecz i w doniesieniach pism czasowych, ciągle spotykamy się ze słowami: „Pracownia sukien damskich". Wiadomo, że pracownią nazywamy miejsce, w którem ktoś pracuje, np. pracownia uczonego, pracownia malarza. Ale niezmiernie ciekawym rzeczywiście byłby widok pracowni, w której suknie damskie same pracują. Podobna nielogiczność tkwi i w wyrażeniu: „sala jadalna", bo przecie sali ani ugryźć, ani połknąć nie można. W pierwszym wypadku należałoby pisać: „Wyrób sukien damskich", w drugim po prostu: „Jadalnia"."

Do zeszpecenia czystości języka polskiego pod zaborem pruskim niemało przyczynia się niezmiernie rozgałęziona agitacya niemieckich wydawców, którzy spekulując na łatwowierność i dobroduszność ludności polskiej, masami fabrykują przeróżnego rodzaju piśmidła, już to o treści powieściowej, już to o treści religijnej, nie troszcząc się oczywiście wcale o zachowanie czystości językowej i o uwzględnienie narodowo-polskiej strony wydawnictw dla ludu przeznaczonych. Niedawno wpadła nam do rąk podobna książeczka do nabożeństwa, wydana w polskim języku w Weissensee pod Berlinem. Trudno znaleść cośkolwiek, coby pod względem językowym mogło wejść w konkurencyę z tym dziwolągiem, który podobno tysiącami rozsyłanym jest na Księstwo. Słusznie też prasa nasza oponuje przeciw nasyłaniu ludu naszego przeróżnemi tego rodzaju wydawnictwami, które obliczone są jedynie na wyżyłowanie materyalne. O pewnem takiem wydawnictwie jakimś „kalendarza misyjnego" słusznie rozpisuje się **„Gazeta Gdańska"** w następujących słowach:

„Nie mamy nic przeciwko temu, aby ludność katolicko-polska dowiadywała się i o misyach afrykańskich — ale w tak ciężkiem położeniu i w ciągłej walce, w jakich się społeczeństwo nasze znajduje, musi myśleć przedewszystkiem o sobie, aby nie zginąć. Mamy tyle u siebie potrzeb w kraju, że misye afrykańskie muszą u nas zejść na drugi plan, bo my sami jesteśmy białymi murzynami — i nam należałaby się pomoc zamiast niesienie jej z naszej strony. Potrzeba nam w kraju misyi, potrzeba kościołów wobec coraz silniejszej inwazyi antykatolickiej, potrzeba domów dla stowarzyszeń katolickich i t. d. Mowa nasza bywa wypieraną na każdym kroku, narodowość nasza upośledzona, więc potrzeba zasilać ducha strawą ojczystą, aby nie ginąć. A wobec tego z różnych stron świata zarzucają nas żądaniami wprawdzie na cele szlachetne, ale zbyt dalekie dla naszego skołatanego społeczeństwa. Bliższa koszula ciała niż surdut. Nam zkądinąd zbyt mała lub żadna nie przychodzi pomoc, a przecie nasze społeczeństwo jest aż nazbyt przygnębione i nieszczęśliwe, aby mogło myśleć o dalszych sprawach. Niechaj chwilowo dbają o nie szczęśliwsze narody."

Nikt zaprawdę za złe nie bierze księżom misyonarzom wydawania kalendarza polskiego, owszem, wdzięczność należy się wszystkim, którzy niezłe książki polskie rozszerzają, z drugiej jednak strony społeczeństwo polskie ma przecież prawo żądania, aby kalendarz polski był rzeczywiście polskim tj. aby, jako książka ludowa, oprócz zwyczajnych wiadomości kalendarzowych zawierał stosowny i odpowiedni na czas obecny pokarm i obrok duchowny dla ludu polskiego, ażeby mógł rozgrzać czytelnika polskiego i pobudzić go do bronienia mowy ojczystej.

Kalendarz, jako najpokupniejsza i najpoczytniejsza po książkach do nabożeństwa książka, powinien iść za przykładem gazet naszych i nawoływać czytelników: „Uczmy dzieci nasze mówić, czytać i pisać po polsku." *B. M.*

NA DOBIE.

Z Górnego Śląska, 12 września.

Szanowna Redakcyo!

Wiedząc o tem, jak żywo zajmuje się „Praca" wszelkiemi sprawami, obchodzącemi nasz kochany Ślązk, piszę i ja też w kilku słowach do „Pracy" o tem, co uważam za potrzebne dla rozwoju polskości między nami tu na Górnym Ślązku. Otóż sądzę, że nic tak ludu naszego nie rozbudziło do życia narodowego i nic mu tak bardzo nie przemawia do serca, jak nasze gazety, z których to każda jest dla ludu nieobeznanego z Polski przeszłością, jak gwiazda świecąca żywym promieniem na firmamencie i rozświecająca ciemności, w których by nas pozostawić chcieli nasi nieprzyjaciele.

Wszystkie otóż powoli okręgi śląskie zaczynają się budzić do życia pod hasłem narodowem, jeden tylko okręg rybnicki jest za wszystkiemi w tyle i nie wiadomo, czemu jest taki zacofany. Rozmawiałem z kilku tutejszymi obywatelami i sądzimy, że tylko chyba przez założenie gazety polskiej w Rybniku możnaby coś zdziałać. Grunt byłby podatny o tyle, że wszystkie niemal gazety polskie na Ślązku powstawały z drobnych zaczątków, a przecież jakoś istnieć mogą, więc sądzę, że plan ten zasługuje na baczną uwagę. Nasze gazety śląskie są dobre, to prawda, ale czemże lepiej przyciągnąć nowych czytelników, jeśli nie wiadomościami lokalnemi, a te wszak tylko przez pismo w miejscu wychodzące dostarczone być mogą.

Z szacunkiem

Karol M.

Sądzimy, że gazety polskie na Śląsku mają dość trudności do przezwyciężenia i dla tego nie radzimy, aby zakładać gazetę nową w Rybniku. Natomiast wszystkim przyjaciołom dobrej sprawy zalecamy usilnie, aby starali się istniejące już pisma polskie o ile możności popierać i czytelników im przysparzać. — *Przyp. Redakcyi.*

* * *

Zabrze, G. Ś. w wrześniu.

Muszę też Szanownej Redakcyi o górnośląskiej germanizacyi parę słów napisać. Otóż nasi ślązcy pracodawcy w niektórych miejscowościach założyli na własny koszt biblioteki niemieckie i chociaż tu Niemców policzyć można na palcach, na to nie zważają, tylko oznajmili robotnikom, że tam bezpłatnie książki dostaną do czytania, ale nasi polscy robotnicy, chociaż zrazu licznie czytali, to za parę dni niejeden mówił: „A co bym tam czytał, kiedy nie rozumiem, co tam stoi". A że się panom pracodawcom nie udała sprawa z bibliotekami, więc znaleźli inny sposób. Otóż zakładają tak zwane „Kriegervereiny", a pracodawcy, namawiając robotników do wstąpienia do nich, nawet za nich wstępne chcą zapłacić i czapki im darmo dać, aby tylko swego dopiąć mogli. Ale, jak mi się zdaje, toć tam nie bardzo się powiedzie, gdyż prawy polski robotnik zamiast na „Monats-Apel", to sobie pójdzie w niedzielę na nieszpory, albo sobie po ciężkiej pracy wypocznie. W tych związkach się tylko tacy znajdują, którzy to sami nie wiedzą, co oni są, co nie są ani Niemcami ani Polakami. Niedawno Polaków wyrzucili z „Kriegervereinów", a dziś chcieliby znów z nich niemieckie szeregi ustawiać.

Czytelnik „Pracy".

* * *

Swakopmund, (Wschodnia Afryka) d. 30 lipca.

Niech będzie pochw. Jezus Chrystus!

Tem staropolskiem pozdrowieniem witam Szanowną Redakcyę i udaję się do niej z prośbą następującą: Proszę przysłać dla mnie do czytania kilka pięknych książek polskich, mianowicie powieść H. Sienkiewicza pod tytułem: „Pan Wołodyjowski", dalej książkę do nauki języka francuzkiego z wykładem polskim i niemieckim, dwie mapy Afryki i Listownik polski z wykładem niemieckim. Przy tej sposobności przepraszam Szanowną Redakcyę za nieprzyjemności, które Jej sprawiłem przez wysyłkę pierwszych numerów „Pracy" w kopercie. Nie moja była w tem wina, ale poczty. Proszę wybaczyć błędy, które w niniejszym liście się znajdują, bo nie jestem żaden uczony w piśmie polskiem, bo mię w szkole pruskiej nie uczyli po polsku, tylko uczyli mię po polsku drodzy rodzice w domu. Więc z tego powodu proszę Szan. Red. raz jeszcze o podręcznik do pisania listów, abym się dobrze nauczył pisać po polsku, *i później uczyć mógł dzieci moje ojczystego języka, tutaj między Murzynami, których uczą i cywilizują w ich ojczystym języku czyli narzeczu, a biedne nasze dzieci polskie w kraju naszym, na naszej polskiej ziemi, germanizują i każą im mówić „Vater Unser".* Jeżeli mi Pan Bóg pozwoli, powrócę do najukochańszej Ojczyzny, bo jak Pan Jezus płakał nad spustoszeniem Jeruzolimy, tak i ja nieraz rzewnie zapłaczę z tęsknoty, za drogą Rodzicielką,

świętą naszą Polską. Serdecznie pozdrawiam wszystkich panów Redaktorów i wszystkich Czytelników najdroższej „Pracy“ z tej tak dalekiej odległości. Na drugi raz doniosę Wam o stosunkach i życiu naszem tułaczem na tym padole łez. *W. Nowak.*

Prosimy bardzo. — Przyp. Red. „Pracy.“

Kongresującym

Przyjaciołom pokoju

w Hadze.

Pod czarną chmurą pogromów i boju —
Pod ciężkiem jarzmem zbrojnego pokoju —
Wśród strasznej burzy groźnego przewrotu,
Ztrwożeni pragniem — moralnego zwrotu!

Bo straszne jutro w przyszłości podwoi
Krwawem widzeniem już przed nami stoi,
Bo wre i kipi w tym świata wulkanie,
Przed którym pono, nic się nie ostanie!...

Wybuch pogromu już nieunikniony,
Bo świat w posadach jest wykolejony —
I żadna siła mu już niepomoże
Tam, gdzie na niebie grzmią pioruny Boże!...

A tu na ziemi, w tym boju jaskrawym,
Bezradna stoi dziś siła przed prawem;
Nic niepomogą — milionowe zbroje,
Zbrojne przymierza — dyplomatów roje!

I nic już teraz świata nieukoi,
Bo świat bez Boga — na rozdrożu stoi!
A chcąc budować tu o własnej sile,
W proch się na własnej rozpada mogile!...

I prochem z prochu dopiero powstanie,
Gdy go odrodzi Boże panowanie,
A ludzkość prawa swe odzyska święte,
Prawa narodów — z dekalogu zdjęte!...

Z nad Prosny, 2. 9. 99. *L...*

Z ojczystych stron.

XXVII.

Kórnik.

„Znasz ty Boga na niebiesiech
„A ojczyznę znasz po Bogu?...

Nie wiele miejscowości w Księztwie może się poszczycić tak pięknem położeniem, jak Kórnik. To też mieszkańcy Poznania chętnie tu dotąd odbywają wycieczki, i z czasem powstanie tam może miejsce kuracyjne, albowiem liczba mieszkańców letnich zwiększa się z każdym niemal rokiem. — Małe to miasteczko o 2503 duszach (ew. tylko 289, żyd. 219) leży 22 klm. od Poznania i 6 klm. od stacyi kolejowej Gądki, nad przepysznem jeziorem, otoczonem z wschodniej strony wspaniałemi lasami, w których dawniej mieścił się zwierzyniec. Piękne ogrody, starannie uprawiane, ciągną się wieńcem w około miasteczka, ziemia tu żyzna, przecinana licznemi jeziorami, daje najlepszy dowód o dobrobycie i pilności wieśniaków. Aż do Bnina prowadzi park, obfitujący w rzadkie i kosztowne drzewa i krzewy, a w środku, nad wielkim stawem, wznosi się majestatyczny pałac, ozdobiony licznemi wieżami. Zwodzony most wiedzie do tego zabytku przepychu i bogactwa, którego najcenniejszą perłą jest biblioteka, składająca się z 140,000 tomów i 1100 manuskryptów. Do uzupełnienia tej biblioteki przyczynił się najwięcej Tytus hr. Działyński, mąż nadzwyczaj światły i uczony.

Tam, gdzie dziś Poznańska ulica i Rynek się znajdują, było dawniej jezioro. Pierwszymi osadnikami byli w miejscowości tej rybacy, którzy na poblizkich pagórkach zbudowali sobie chaty. Było to mniej więcej przed 600 laty. W r. 1372 wystawiła królowa Elżbieta węgierska, siostra Kazimierza Wielkiego, pewien dokument, w którym po raz pierwszy jest wzmianka o Mikołaju z Kórnika, kanclerzu Wielkopolski.

Kiedy pałac w Kórniku został zbudowanym, tego nie wiadomo, można tylko przypuszczać, że kazał go wystawić biskup poznański, Mikołaj, który lubił się nazywać Mikołajem z Kórnika. Biskup ten budował kościoły, odnowił tum poznański i zaczął budować murowane domy w miasteczku Słupce. W każdym razie stał pałac kórnicki już w 15 stuleciu, a dobra całe były wówczas własnością rodziny Górków.

Na połowie 15 stulecia był Kórnik już miastem i musiał stawić dwóch żołnierzy przeciw nieprzyjacielowi. Jeden z Górków zapisał kościołowi w r. 1479 ośm marek rocznej renty, następca jego zaś, będąc sam protestantem, oddał kościół lutrom. Później odzyskali go znowu katolicy. W r. 1565 objął cały majątek Stanisław Górka.

Sarnicki, historyk 16 wieku, pisze o Kórniku co następuje: „W r. 1655 był zamek kórnicki siedzibą wojewody poznańskiego, Stanisława Górki, zbudowany masywnie i urządzony z wszelkiemi wygodami. Mógł nawet wytrzymać napad nieprzyjacielski. W blizkości zamku znajdowały się zabudowania gospodarskie, stawy, i zwierzyniec.“ Orzelski potwierdza to wszystko i opisuje przyjęcie króla Henryka Valezyusza w Kórniku.

„Gdy król wyjechał z Poznania, przyjmował go Stanisław Górka w zamku kórnickim z prawdziwie królewskim przepychem. W zamku były takie bogactwa i takie zbytki, że Francuzi nie mogli się dosyć wydziwić i mówili, że czegoś podobnego w życiu swojem nie widzieli. Potrawy i trunki były wyborowe, piwnica zaś otwarta dniem i nocą i każdy mógł brać tyle wina, ile chciał. Król znalazł w komnatach dla siebie przeznaczonych kosztowne podarunki, mianowicie futra sobolowe i czarne lisy. Przy odjeździe otrzymał król i jego dworzanie pyszne konie i broń.“



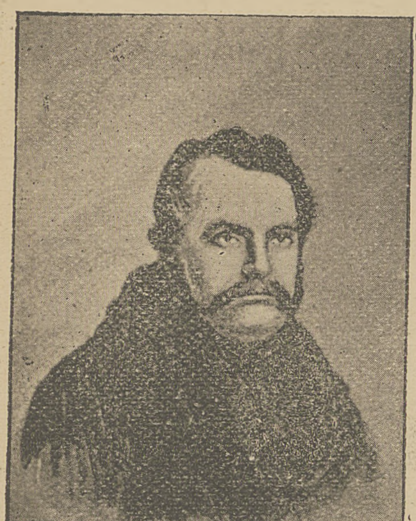
Pałac w Kórniku.

Górkowie posiadali jeszcze oprócz zamku w Kórniku zamek warowny w głębi lasów. Przed kilku laty dopiero odkopano szczątki murów tych, a olbrzymie cegły były jeszcze tak doskonale zachowane, że użyto ich do budowania nowych domów. W tych starych murach znaleziono także trzech Górków w ubraniach rycerskich, wyciosanych z kamienia. Jeden z nich jest obecnie wmurowanym w ścianę zewnętrzną kościoła, bo miał być jeszcze poganinem, obydwie zaś inne figury są w kościele umieszczone.

W ruinach tych mają się też znajdować, jak podanie niesie, nieprzebrane skarby, strzeżone przez złych duchów. Przed wielu laty zawarto z niemi układ, na mocy którego szatan zgodził się na wydanie skarbów pod warunkiem, że proboszcz kórnicki ma przyjść po nie w uroczystej procesyi, i to trzy razy, ale nie ma zapomnieć o najmniejszej drobnostce. Trzy razy więc wyszła procesya, nic to jednak nie pomogło, bo za każdym razem zapomniano czegoś zabrać — pierwszym razem wody święconej, drugim razem szczypcy do świec, trzecim zaś razem krzyża. Po owej trzeciej procesyi zapadły się skarby z przerażającym łoskotem tak głęboko w ziemię, że ludzie stracili już nadzieję wydobycia ich. — Zkąd powstało to podanie? Podług naszego zdania ztąd, że z śmiercią wojewody Stanisława Górki, ostatniego potomka po mieczu potężnego tego rodu, rozproszył się cały jego kolosalny mają-

tek, a lud wiejski, nie mogąc pojąć, jak można fortunę taką roztrwonić, wpadł na myśl, że chyba szatan sam ją sobie przywłaszczył. Jest to tem prawdopodobniejsze, że Górkowie wyrzekli się swej wiary i zostali lutrami.

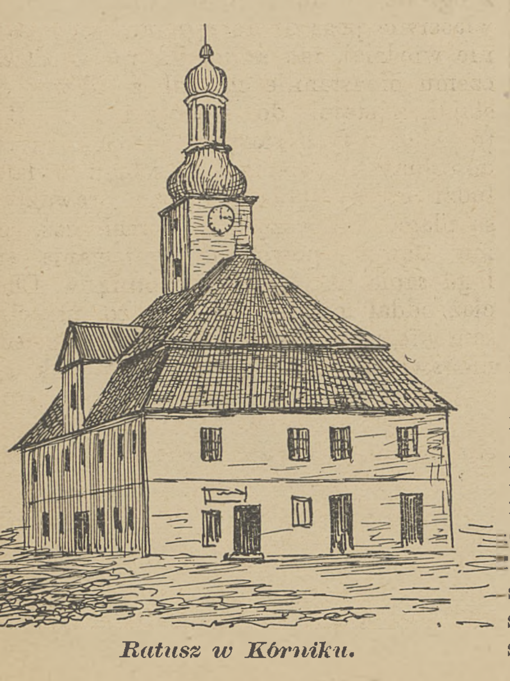
W r. 1547 przybyli tu pierwsi ewangelicy. Było ich 400 w 70 wozach, a mieli ze sobą pastora i nauczyciela. Andrzej Górka pozwolił im osiedlić się na przedmieściach Poznania i w Kórniku. Za tymi przyszło wnet naturalnie więcej, tak że ludność Kórnika powiększyła się w krótkim czasie o 56 procent, co na owe czasy dla małego miasta bardzo wiele znaczyło.



Tytus hr. Działyński ur. 1795, um. 1861.

Po wymarciu familii Górków w roku 1592 przeszedł Kórnik na własność Andrzeja Czarnkowskiego, kasztelana nakielskiego, a córka jego, żona Michała hr. Działyńskiego z Brześcia Kujawskiego, otrzymała dobra te w posagu.

W 17 stuleciu przebudowano zamek na warownię, w połowie zaś przeszłego wieku zmieniła Teofila Szołdrska z domu Działyńska zamek po raz drugi i urządziła go zupełnie w stylu francuzkim, tak samo też i park. Pani ta wybudowała nadto ratusz w Kórniku, ewangelicki kościół w Bninie, i sprowadziła znowu znaczną liczbę lutrów do swoich wsi. Sprzedała im dużo roli za bezcen, dawała drzewo, potrzebne do budowania, i nadała im mnóstwo praw i przywileji.



Ratusz w Kórniku.

Z czasem powstało też w tej okolicy, nawskroś polskiej, kilka wsi niemieckich, jak Waldau, Steindorf i t. p.

W ówczesnym parku znajdowały się dwa obszerne budynki, przeznaczone na hodowanie jedwabnic, a wielka ilość drzew morwowych otaczała te zabudowania. W zamku zajmowało się 12 panien przędzeniem i tkaniem jedwabiu, który właścicielka rozdawała okolicznym kościołom.

W r. 1830 spaliła się połowa miasta i kościół katolicki, który jednak natychmiast został znowu odbudowanym.

W tym czasie pojawiła się także po raz pierwszy cholera, zabierając mnóstwo ofiar, a kto wie, czy miasto byłoby się po tych ciężkich klęskach podniosło, gdyby nie wspaniałomyślna pomoc ówczesnego dziedzica, hr. Tytusa Działyńskiego, któremu ciotka majętność tę podarowała. Żyjący dotąd jeszcze starzy ludzie nie mogą dosyć wychwalać tego zacnego i szlachetnego człowieka, który aż do śmierci tyle czynił dobrego wszystkim mieszkańcom Kórnika, bez różnicy wyznania. W zamku jego i w parku wolno było pracować tylko rzemieślnikom z miasta — młodych i zdatnych synów obywateli posyłał do szkół i zagranicę i kazał ich kształcić na swój koszt. Meble pokryte są materyami, tkanemi w Kórniku, a przepyszne rzeźby dowodzą aż nadto wyraźnie, jak wysoko stały tu wówczas sztuki i umiejętność. W r. 1847 podarował miastu ratusz na własność.

Co się działo w Kórniku w r. 1848, o tem pisaliśmy już dawniej w „Pracy“ z okazyi 50-letniej rocznicy powstania.

Przypominamy tylko o czynach Tytusa Działyńskiego, Krauthofera (Krotowskiego), Mierosławskiego, Niegolewskiego i wielu innych szlachetnych i dzielnych patryotów. (Patrz: „Pierwsze zebranie ligi polskiej w Kórniku“, str. 72 i „Rada wojenna w Rogalinie“ str. 153).

Po śmierci hrabiego Tytusa w roku 1861, objął majątek syn jego Jan, mieszkał jednak po największej części w Paryżu. Ponieważ brał udział w powstaniu w r. 1863, obłożył rząd pruski aresztem jego dobra i trzymał je przez 7 lat. Potem ułaskawiono hrabiego i oddano mu wszystko. Hrabia Jan Działyński umarł w r. 1880 jako ostatni potomek sławnego tego rodu.

Spadkobiercą zmarłego jest siostrzeniec jego, hrabia Władysław Zamoyski. Będąc poddanym austryackim i oficerem francuzkim, mieszka w Galicyi, bo i jemu pobyt w Kórniku jest wzbronionym. Pełnomocnik jego, dr. Celichowski, zawiaduje od dawna już całym majątkiem; wszystkie wsie są wydzierżawione, tylko lasami zawiaduje nadleśniczy, p. Janowski z pomocą 10 leśniczych. Lasy te są utrzymywane w wzorowym porządku i znaczne przynoszą dochody.

W r. 1866 spaliło się miasteczko po raz drugi, i znowu wybuchła cholera. Ale dzięki dobroczynności mieszkańców Księstwa, zebrały się wnet potrzebne fundusze na odbudowanie domów i wsparcie osieroconych i podupadłych.

Pomiędzy gmachami publicznemi zasługuje też na wzmiankę bóżnica żydowska, bardzo już stara, drewniana, a mieszcząca wiele kosztowności. Żydów jednak bardzo tu mało, bo ledwie 200, w Nowym Yorku za to istnieje „stowarzyszenie żydów kórnickich“.

Kronikarz „Pracy“.

Zeszła Marya w Galilejskiej ziemi
Bujną oliwką, różą Izraela;
Młodość jej grała na strunach wesela;
Ani jej dotknął skrzydłami czarnemi
Smutek, sęp życia, gdy żądze światowe
Obiorą serce dla siebie na gniazdo.
I pieśni nad nią zabrzmiały niebowe:
„Zeszła Marya nową świata gwiazdą,
A z nią dla świata zeszło życie nowe“.

Zeszła Marya na ziemi Jordanu;
Przyniosła z sobą serce pełne czystych,
Nabranych w niebie, myśli promienistych,
Z których żywota przędząc rąbek Panu,
Niebo, od ziemi grzechem oddalone,
Znów przybliżyła. Pan jej dał koronę
Ziemi i nieba. I wzięła na siebie
Dla wszystkiej ziemi pośrednictwo w niebie.
Niebo i ziemia, w przemiany zabrzmiały
Pieśnią miłości, albo pieśnią chwały!

I była Marya dziewicą Syonu;
Stała się matką Nowego Zakonu.
I była domem złotym pobożności
I cnoty wieżą ze słoniowej kości,
Gdy stawiąc przed nią blaski swe anioła,
Gabryel „Zdrowaś Maryo!“ zawoła,
„Otom posłany od naszego Pana,
Abym zwiastował, iżeś jest wybrana
Na matkę Jego Synowi świętemu.
Bądź pozdrowiona w Bożych łask ozłocie!
Błogosławieństwo owocowi Twemu,
Który się z Ducha począł w Twym żywocie!“

Zniknął Gabryel; wraz po całym świecie,
Rozległ się tajny śpiew o Nazarecie.
Syna Bożego cudowne poczęcie
Rozradowało wszystkie dusze święcie.
„Zdrowaś Marya! Anielska Królowo!
Zdrowaś, świecąca gwiazdką życia nową:“
Śpiewano w niebie; a w łonie dziewicy
Ciałem się stało słowo tajemnicy;
Pierś macierzyńskie objęły płomienie
I Betleemu szukało spojrzenie.

Tomasz Olizarowski.

Przenajświętsza Rodzina w drodze do Egiptu.

(Z Legend o Matce Bozkiej.)

Był w ciemnym borze srogi zbój, co napadał ludzi po drogach, mordował i ograbiał.

Tędy wypadło świętej Rodzinie do Egiptu uciekać.

Ale bór ciemny ze zbójecką zasadzką strachem ich przejmował; wiodły przezeń dwie drogi: jedna na prawo, druga na lewo. Na prawo droga prowadziła przez gęstą olszynę, obok mieszkania zbója, na lewo przez chaszcze i wertepy, w których łatwo było zabłądzić.

Święty Józef i Marya Panna z Jezusem zdali się na wolę Bożą, nabrali otuchy i puścili się w gąszcz.

W lesie zmrok już zapadał, chłodne opary z ziemi podnosić się już zaczynały. Boże Dziecię przeziębło i żałośliwie popłakiwało u matczynej piersi.

Usiadła tedy Marya Panna pod drzewem, aby nakarmić Jezusa, a przytem kilka kropel pokarmu spadło na oset, co wyrastał u Jej kolan i z tego mu na listkach białe plamki pozostały, aby był naznaczony, jako jest osetkiem Najśw. Panny.

Zciemniało się coraz bardziej i bardziej, a wśród boru straszno było nocować.

Zbój, co na podróżnych przy drodze czatował, usłyszał głosy ludzkie w gęstwinie i skierował się w tę stronę, jak zwierz drapieżny skradając się chyłkiem.

Myślał, że przyjdzie mu mordować.

Aż oto poczuł, że mu na ramieniu maczuga, od nasiąkłej krwi aż czerwona, dziwnie ociężała, tak, iż ją udźwignąć ledwie zdołał.

Spojrzy przed się, a tu w oczach mu nagle zaświeciło; spojrzy znów i widzi najwyraźniej trzy księżyce nad owem miejscem, gdzie Rodzina święta spoczywała.

Dojrzał w gęstwinie Maryę Pannę z Dzieciną i Józefem, skulonych od chłodu i deszczem zmoczonych na słocie.

Zamierzał spytać: skąd się tu wzięli i dokąd chcą?... ale mu wargi zdrętwiały, nieswojsko mu się zrobiło, mruczał jeno, jak dziki zwierz, zaskoczony niespodzianie w ostępach i kroku ruszyć nie śmiał dalej.

Schwyciła go moc jakaś niewidzialna i wcisnęła w ziemię, aby tak stał w odległości od Dziecięcia Bożego, jako zbrodniarz niegodny zbliżyć się do świętego Majestatu... Rozumiał tedy, że mu się tknąć ani niewiasty, ani dziecka, ani starca nie godzi, bo coś zaporą między nim a nimi stanęło — i te trzy księżyce nad ich głowami ostrzegały go, że nie zwyczajni ludzie są, przeciw którym maczuga jego nic nie poradzi.

Srogość go zwykła ominęła choć ponuro spoglądał, jakby się własnej niemocy sromał.

— Jakżeż w boru na słocie takiej noclegu szukacie? — spytał wreszcie, grubego głosu dobywszy z piersi — oto tam dom mój przy drodze za olszyną. Wejdźcie i zanocujcie...

Weszła tedy pod dach zbójeckiej zagrody Najśw. Panna z Jezusem i Józefem świętym, a żona zbója powitała ich zalękniona, ale gościny nie odmówiła.

Widok dziecka przy piersi zdjął ją litością, bo sama matką była; rozumiała, że mąż jej umyślnie tę trójcę z boru w dom nasłał, aby wszystko troje uśmiercić w sposobnej chwili, rzekła tedy z dobrego serca:

— Spieszcie się moi ludzie, póki czas i niechcijcie noclegu w tem miejscu!... Jam jest zbójnichą, a mąż mój śmierć wam niechybną zgotuje, gdy z lasu wróci!...

Ale Najśw. Panna ją uspokoiła, żeby próżnej obawy o nich nie miała, bo Bóg z nimi. Przed pójściem spać wzięła się jeszcze do wykąpania Jezusa w wanience na zapiecku, a widząc zbójnichę, że spogląda bardzo żałośnie na dziecko swoje w kolebce, rzekła do niej, by swego małego także w kąpiel włożyła.

— Jakżeż to uczynię — odpowie na to Najśw. Pannie — kiedy synaczek mój trąd ma na całem ciele?... Nie godzi go się kąpać razem ze zdrową dzieciną.

Matka Bozka kazała jednak podać sobie zwrzodziałe zbójątko i własnemi rękoma w kępiel go zanurzyła obok Jezusa swego, a gdzie jeno ciało woda oblała, tam w oczach znikał brzydki trąd i rany wygojone się zabliźniały. Poznał zbójca, że to cud i sumienie w nim odtajało; chciał złotem i srebrem płacić za takie uzdrowienie, chciał dziękować ze łzami, lecz się spostrzegł nareszcie, że te wszystkie skarby świata są marnością tylko i że trzeba wypłacić się Bogu inaczej, skruszoną duszę z plam oczyścić i ofiarować ją temu Dzieciąteczku, które przyszło z trądu grzechów ludzkich świat oswobodzić.

Tak też postanowił uczynić i pokutę rozpocząć ślubował.

Pan Jezus zaś na ręku Maryi Panny przemówił w te słowa do nowonarodzonego zbójątka:

— Jakośmy się kąpali razem, tak kiedyś razem pomrzemy!

I stało się tak — bo syn zbójcy nie poszedł za przykładem nawróconego ojca, jeno dorósłszy z łotrzykami się wdawał, niepomny nauk i przestrog rodzicielskich.

W jednym czasie za zbrodnie swoje z Chrystusem pojmany był i ukrzyżowany na Golgocie.

On to z krzyża przemówił, patrząc na Chrystusa:

— Ten człowiek niewinny! — na co łotr po lewicy odmruknął:

— Musi być winny skoro go wieszają.

Pan Jezus obrócił wówczas głowę ku synowi zbója i rzekł mu;

— „Zaprawdę, dziś jeszcze będziesz ze mną w niebie.“

Ze wspólnej ich kąpiółki, która wonności przedziwnej nabrała, pozostało jednak wspomnienie takie: oto w ogródku, kędy zbójnicha ją wylała drugiego dnia, wyrosły pachnące zioła, a z tych ziół następnie trzy Marye zrobiły maście do namaszczenia ciała Chrystusowego po zdjęciu z krzyża, przed złożeniem do grobu. G.

W Nowym Dworze.

(Nowelka.)

Wsparty na grubym, sękatym kiju, wracał stary dziedzic Nowego Dworu z ogrodu do domu mieszkalnego. Po co właściwie poszedł do ogrodu, tego sam nie wiedział, tak samo, jak nie wiedział, czemu nieustannie chodził z obory do stajni, z stajni do stodoły i t. d. Był to jeden z tych starych, wiecznie niezadowolonych z siebie i z całego świata, ludzi, którzy sobie i innym prawdziwą są plagą, bo wszędzie dojrzał coś, co mu dawało powód do gniewania się i gderania na służbę i robotników. Chociaż oddał majątek synowi, to przecież sam nie miał chwili spokojnej. Czeladź nienawidziła „starego marudę“, jak go ogólnie nazywano — gdy słyszała stuk jego kija, zabierała się do roboty, gdy się oddalił, szydziła z niego nielitościwie. Stary wiedział o tem i złościł się jeszcze więcej. Pan Zalecki miał dwóch synów; jeden z nich bujał po dalekim świecie, drugi obecny dziedzic Nowego Dworu, lubił się bawić i wyjechał właśnie, ponieważ była Niedziela, w sąsiedztwo. Ojciec wielkie początkowo pokła-

dał w nim nadzieje; dał mu staranne wykształcenie, posłał na szkołę agronomiczną i chciał go na dzielnego wykierowac gospodarza wiejskiego. Tymczasem nadzieje zawiodły starego; Karol był wytwornym paniczem, chodził w lakierkach po łąkach i polach, i przepędzał całe godziny w swojej pracowni, aby prowadzić gospodarstwo za pomocą liczb i formułek. Nie można było wprawdzie zaprzeczyć, że dzięki sztucznym nawozom, jakie sprowadził, były urodzaje w tym roku takie, jakiemi się żaden sąsiad poszczycić nie mógł, ale stary nie był wcale z postępowania syna zadowolonym, i marudził więcej, niż kiedykolwiek. Obawy pana Zaleckiego nie były rzeczywiście zupełnie bezpodstawnemi — świetne czasy Nowego Dworu minęły, a chociaż żniwa zapowiadały się świetnie, to dochody jednak nie pokrywały rozchodu. I jeżeli tak dalej miało iść, to przyszłość nie ukazywała się wcale w różowych barwach.

— Nędzne gospodarstwo! — jęknął stary, rzucając się w swój fotel przy oknie.

Nagle otworzyły się drzwi, i Stefan młodszy syn, ukazał się na progu.

Pan Zalecki patrzał na niego bez jednego słowa powitania. Po dziesięciu latach nieobecności wracał Stefan do domu; przyzwyczajony do szorstkiego postępowania ojca, nie zdziwił się wcale chłodnem przyjęciem z jego strony.

Stefan był kupcem, a dzięki pracy, pilności i wytrwałości, zdobył sobie szeroką wiedzę, objechał pół świata i wracał do domu, stęskniony za ojczyzną i rodziną.

— Albo zostaniesz teraz tutaj, — rzekł mu ojciec stanowczo, — albo uważaj się za obcego w moim domu. Musisz się zająć gospodarstwem, bo Karol nie zna się na niczem i doprowadzi nas do zupełnej ruiny majątkowej.

Stefan nie miał wyboru — więc został.

Kilka miesięcy później zaszły w Nowym Dworze pewne zmiany; stary gderał jeszcze zawsze, ale Stefan łagodził jego gniew. Czeladź pracowała pilniej i chętniej, i wszędzie wzorowy panował porządek. Kilku leniwych parobków oddalono, owczarza tak samo, a na ich miejscu byli ludzie nowi, pracowici i gorliwi.

Stefan był od rana do wieczora na podwórzu i na polu, wieczorem zaś wyciągał z kieszeni pismo jakieś, które z natężoną odczytywał uwagą.

— Ach, więc i ty chcesz gospodorować literami, zamiast jąć się wideł i kosy, — szydził ojciec.

— Nie w tem znaczeniu, jak ojciec myśli, — odrzekł Stefan spokojnie. — Samemi teoryami nie zaprzątnę sobie głowy. A zresztą, czy wiesz ojcze, dla czego otrzymaliśmy w tym roku za nasze jabłka jeszcze raz tyle, jak dawniej? Wiesz, czemu mamy tyle jaj? Wiesz, zkąd mamy owczarza i parobków, którzy o wiele są pilniejszymi, niż dawniejsi?

Pan Zalecki słuchał i milczał. W końcu machnął ręką, i rzekł niechętnie:

— Rób co chcesz — zdaje się, że umiesz wszytko lepiej urządzić, niż ja.

— Jabłka nasze, — mówił Stefan dalej, — były zbyt piękne i dobre, aby je zawieść na targ i sprzedać na suszenie lub gotowanie. Dla tego więc kupiłem koszyki od tego tu kupca, — dodał, wskazując na jeden z dawniejszych numerów pisma. — Teraz możesz się też przekonać, ojcze, w jaki sposób tak korzystnie jabłka sprzedałem.

Stary drżącemi rękami założył okulary i z pewnem niedowierzaniem spojrzał na dwa inseraty, tyczące się przesyłki koszy z jabłkami, a jeden z tych inseratów zaopatrzony był w adres Nowego Dworu.

— No i cóż? — zapytał syn.

Ojciec odsunął w milczeniu pismo — widocznie nie chciał przyznać, że młodzi mogą też raz mieć więcej słuszności, niż starzy.

— Z kurami postąpiłem tak samo, — odezwał się znowu syn. — Wyczytałem tu o znakomitym gatunku kur, sprowadziłem ich kilkanaście, i jak wiesz ojcze, sprzedałem już dotąd kilka kop jaj więcej, niż sam myślałem. Owczarza dostałem także za pośrednictwem tego pisma, parobków tak samo.

Mówiąc to, wskazywał ojcu odnośne inseraty w piśmie.

Pan Zalecki milczał uparcie, ale wziął teraz pismo z rąk syna i zaczął je przeglądać. Stefan umilkł także, i syn i ojciec czytali z wielkiem zajęciem „*Pracę*“.

— Słuchaj no, — rzekł pan Zalecki nazajutrz do syna, — zostaw mi tu ostatnie numera „Pracy“, gdy wyjdziesz na pole.

I od tego czasu większy zapanował spokój w podwórzu i w domu. „Stary maruda przepędzał całe godziny na czytaniu, a czeladź i służba nie była już ani w polowie wystawioną na jego łajania.

Można było przypuszczać, że stosunek dwóch braci stał się nieco naprężonym z powodu wielkiego powodzenia Stefana. Ale bynajmniej! Stefan zrozumiał dążności Karola i potrafił je pod każdym względem zaspokoić. W „*Pracy*“ była raz już wzmianka o uprawie roślin aptecznych, a to było pole, na którem Karol mógł do świetnych dojść rezultatów. I tak zabrał się natychmiast do dzieła, a za pomocą rad i wskazówek „*Pracy*“ udało mu się rzeczywiście wielkie osięgnąć zyski.

W Nowym Dworze niejedno się teraz zmieniło. Pan Zalecki gniewał się wprawdzie straszliwie, gdy synowie założyli mleczarnią na wielką skalę i młyn do mielenia roślin i korzeni aptecznych, ale w końcu uznał, że pomysły synów opłacały się sowicie i raz nawet zdobył się na żart wesoły. Było to wtenczas, gdy Stefan niespodziewanie wprowadził do domu ojcowskiego młodą i piękną narzeczoną.

— Ach — zawołał stary z uśmiechem — czy i tę zawdzięczasz „Pracy“?

— Naturalnie!

— Jakto? — zapytał ojciec zdumiony.

— Otóż „Praca“ zbliżyła nas rzeczywiście do siebie! W domu rodziców panny Zofii piłem wyborny likier, przyrządzony przez nią podług recepty „Pracy“ i podziwiałem kwiaty, hodowane podług przepisów tegoż pisma. Oboje rozmawialiśmy dużo i chętnie o „Pracy“, która jest naszem ulubionem pismem, i tak zwolna — poznaliśmy się bliżej i pokochaliśmy, a szczęście nasze zawdzięczamy jedynie „Pracy“!

Panna Zofia została wkrótce panią w Nowym Dworza i promieniem słońca dla pana Zalewskiego, który uwielbia synową. Hasłem całej rodziny jest „Praca“ w każdem znaczeniu tego słowa. Przez cały dzień są wszyscy zajęci pracą fizyczną, wieczorem zaś, gdy znużeni odpoczywają, uprzyjemnia im czytanie „Pracy“ niejedną chwilę i daje nowe rady i nauki. Nawet służba, czeladź i robotnicy w mleczarni i w młynie zaabonowali sobie pismo to, i tak stała się „Praca“ wierną towarzyszką i doradczynią wszystkich mieszkańców „Nowego Dworu“. *M. P.*

Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Alicya czuła się znacznie spokojniejszą, gdy tydzień później usłyszała od Heleny, że Alfred wyjechał do Paryża, i że ztamtąd uda się do Australii, gdzie mu korzystną ofiarowano posadę.

Helena bywała teraz częściej w zamku, pomimo to stosunek jej do Alicyi bardzo pozostał chłodnym i o przyjaźni mowy nawet być nie mogło. Alicya przeczuwała instynktem, że Helena nienawidzi jej — onieśmielało ją to więc niezmiernie i nie pragnęła już obecnie tej przyjaźni, której sobie dawniej tak gorąco życzyła. Henryka nie widywała prawie nigdy.

Gdy wracał od chorych, zamykał się zaraz w swoim pokoju, pracując nawet w nocy. Zdrowie jego upadało widocznie z każdym dniem — ciężki zawód wiejskiego lekarza wycieńczył do reszty słabe siły.

Ale on wiedział o tem i nie martwił się. Życie jego było chybione, zmarnowana przyszłość, wszakże i strata majątku oraz wszelkich ideałów, nie bolały go tak, jak niemy zarzut, z jakim patrzały na niego oczy Heleny. Wszakże on nic nie zawinił i starał się o jej utrzymanie — ona zaś czuła się nieszczęśliwą i dawała mu to aż nadto wyraźnie do zrozumienia. Więc też twarz jego stawała się z dnia na dzień bledszą, a piękne, czarne oczy sinemi były otoczone obwódkami.

W ostatnich czasach zaczęła Julcia znowu niedomagać, Richarder musiał zatem wezwać pomocy Henryka. Alicya widywała go raz po raz, a na widok zmiany, jaka z nim zaszła, ścisnęło się serce jej głębokim bólem. Odgadywała, że oprócz choroby dręczy go tajemny jakiś smutek, i serdeczna litość zwiększyła jeszcze jej miłość dla niego. Usiłowała go czasem trochę rozweselić i promieniała z radości, gdy udało jej się wywołać uśmiech na jego usta.

Alicya zajmowała się oddawna chorymi w okolicy zamku, i prawdziwą dla nich była opiekunką. Odwiedzała ich często, wychodząc zwykle w towarzystwie jednego z lokaji, nazwiskiem Leforta, który niósł kosze pełne chleba, mięsa i wina. Richarder dawał jej tyle

pieniędzy, ile żądała i dowiadywał się starannie o chorych, aby miała jak najwięcej sposobności do wypełniania dobrych uczynków.

Pewnego dnia w Maju, wręczył jej Lefort list od „matki Barbary“, biednej, starej kobiety, która w rozpaczy prosiła Alicyę o pomoc. Wyrzucono ją z mieszkania, ponieważ nie mogła zapłacić dzierżawy, i chociaż znalazła chwilowo przytułek u jakiejś znajomej, to wkrótce jednak największa groziła jej nędza!

— Kto wam dał ten list? — zapytała młoda dziewczyna służącego.

— Najstarszy syn Katarzyny — u niej bowiem znajduje się obecnie matka Barbara.

— Gdzie ona mieszka?

— Pod lasem, z drugiej strony rzeki. Jaśnie pani często już była w tej stronie.

Alicya dała mu dwadzieścia franków.

Zanieście to zaraz matce Barbarze i powiedzcie, że jutro po obiedzie przyjdę do niej.

— Czy jaśnie pani pójdzie pieszo, czy też pojedzie?

— Jeżeli będzie tak ciepło, jak dziś, to pójdę pieszo przez las.

— O której mniej więcej godzinie?

— Około trzeciej.

Pana Richardera nie było w domu. Wyjechał z Julcią na kilka dni do Blois, i Alicya zupełnie samą była w zamku — stryj Fritz bowiem przepędzał całe dni na polowaniu, wracając tylko na noc do Pereuse.

Nazajutrz piękne było powietrze, i Alicya o trzeciej wybrała się na zapowiedziane odwiedziny matki Barbary.

— Mam iść z jaśnie panią? — zapytał Lefort.

— Nie, zobaczę najpierw sama, czego tej biednej kobiecie najwięcej potrzeba. Jutro możecie jej wszystko zanieść. Byliście wczoraj u niej?

— Tak jest. Oddałem jej pieniądze.

Po odejściu Alicyi stał się służący dziwnie niespokojnym. Przez chwilę namyślał się, czy biedz za nią i ostrzedz ją o grożącem niebezpieczeństwie, zdawało się nawet, że żałuje czegoś — ale potem zwrócił się ku domowi i machnąwszy ręką, szepnął z uśmiechem:

— Ach, co tam! Nic jej się nie stanie! Powiedział mi przecież, że to umówione spotkanie się — trzeba pomagać zakochanym. Jestem pewien, że wkrótce wyprawimy wesele na zamku!

Alicya szła wolno, oddychając z rozkoszą ciepłem, wonnem powietrzem. Po upływie dwudziestu minut była w lasku, potem przeszła przez wązki drewniany most i stanęła po drugiej stronie rzeki. Tutaj rozpoczynały się ogromne bory, na których pograniczu leżało kilkanaście chat, rozrzuconych malowniczo na tle ciemnych drzew. W jednej z nich mieszkała owa Katarzyna; była to nędzna lepianka, chyląca się ku upadkowi, ale Katarzyna cieszyła się, gdy po śmierci męża dano jej to schronienie. Tutaj też przyjęła swoją krewną, matkę Barbarę, która obecnie żadnego nie miała przytułku.

Przeszło pół godziny minęło, zanim Alicya obeszła nieprzebyte krzewy i zarośla, rosnące wzdłuż rzeki. Potem nareszcie znalazła się na właściwej drodze, pytając jakiegoś wieśniaka o chatę Katarzyny.

— Nie daleko ztąd, — odrzekł wieśniak, — najwyżej z dwieście kroków. Tam na lewo, za krzyżem świętego Sebastyana. Ale zdaje mi się, że Katarzyny nie ma w domu.

— A dzieci?

— O te żebrzą w całej okolicy. W każdym razie zastanie panienka matkę Barbarę.

Po kilku minutach stanęła Alicya przed chatą, i zapukała do drzwi, nie otrzymując zaś żadnej odpowiedzi, nacisnęła klamkę i weszła do izby.

Nędznie tu wyglądało i nieporządnie. Na stole leżały brudne łyżki, w jednym kącie stos zeschłych liści i siana, przykryty podartą kołdrą, służył zapewne matce i dzieciom za łóżko.

— Matko Barbaro! — zawołała młoda dziewczyna, zbliżając się do drzwi, wiodących do komory, — jesteście tam?

W komorze dał się słyszeć lekki szelest i w następnej chwili wyszedł z niej — Alfred Albernon!

Alicya osłupiała.

— Pan! Pan! — szepnęła, cofając się mimowoli.

Alfred pobiegł ku drzwiom, zamknął je, i wsunął klucz do kieszeni.

— Panie hrabio, co to znaczy? — zapytała, drżąc z przerażenia i trwogi.

— To znaczy, że kocham panią, i że musisz zostać moją żoną!

Alicya oparła się o ścianę, zdawało jej się bowiem, że upadnie. Spojrzała z rozpaczą w około, szukając jakiej broni, ale nie zobaczyła nic, czemby się bronić mogła. Obok zamkniętych drzwi znajdowało się małe okno, bez szyb wprawdzie, ale zasłonięte na wpół drewnianą okiennicą, związaną sznurkami. Przez to okno mogła uciekać, tylko zanim by zdołała odwiązać sznury i wyskoczyć, mógłby jej Alfred dziesięć razy przeszkodzić — o tem nie było więc mowy.

Nędznik odgadł jej myśli i uśmiechając się szyderczo, zbliżył się do niej.

Przerażenie tak ubezwładniło członki Alicyi, że stała nieruchoma, niezdolna nawet do wołania o pomoc.

— Kocham cię! — mówił Alfred bezczelnie, — kocham cię z całego serca! Chciałem zapomnieć o tobie, ale daremnie! Odpowiedź, jaką dałaś twemu ojcu, wprawiła mnie w straszną rozpacz — dlaczego odrzuciłaś moją miłość? Czem zasłużyłem na twoją niechęć i odrazę?

Alicya na wpół przytomna, milczała.

— Sama jesteś temu winną, że mnie tu dziś niespodziewanie spotykasz. Przygotowałem ci tę zasadzkę, bo odmowa twoja uczyniła mnie złym i niegodziwym. Myślałem, że uczucia moje zasłużą na litość, tymczasem zamiast....

— Nędzniku! — przerwała Alicya, której odwaga zaczęła wracać. — Czego pan chcesz odemnie? Czemu nie przychodzisz do naszego domu, jeżeli masz mi coś do powiedzenia? Na co ta haniebna zasadzka?

Alfred ujął jej rękę w żelaznym uścisku i odrzekł tonem, zdradzającym silne, niezłomne postanowienie:

— Na to, aby cię zabić, jeżeli nie przysięgniesz, że zostaniesz moją żoną!

— Nigdy! — odpowiedziała młoda dziewczyna bez namysłu.

I usiłując wyrwać rękę z jego dłoni, krzyknęła głośno:

— Ratunku! Ratunku!

— Możesz krzyczeć ile chcesz, jeżeli ci to przyjemność sprawia, — roześmiał się Alfred. — Nikt cię tu nie usłyszy! Matkę Barbarę posłałem do miasta. Chata odosobniona od innych — któż może mi przeszkodzić w wypełnieniu moich zamiarów?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości.

Pan Dr. Kazimierz Rakowski w dniu 5 września w wydawnictwie „Pracy“ czynności złożył i wyjechał na zawsze z Poznania.

Prośba. Potrzebny jest nam do skompletowania kwartalników nr. 16, „Pracy“ z roku bieżącego; — upraszamy zatem Szanownych Czytelników o łaskawe nadesłanie nam tego numeru, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Teatr poznański opuszcza w najbliższym czasie Ciechocinek i wraca do Poznania, gdzie w dniu 23-go b. m. rozpocznie sezon zimowy. Podczas sezonu wystawione będą wszelkie cenne utwory oryginalne: dramata, komedye, sztuki ludowe i wodewile; z literatury obcej wszelkie nowości grywane na scenach zagranicznych.

Teatr polski miał w Ciechocinku powodzenie. Przedstawień dano tam ogółem 73, na które składały się 34 komedye lub krotochwile, 7 dramatów oraz 7 wodewilów i sztuk ludowych ze śpiewami. Z repertuaru autorów swojskich odegrano 26 utworów.

Poznań. Do egzaminu dojrzałości w tutejszej szkole budowlanej stanęło w piątek 8 b. m. 15 kandydatów, z których wszyscy egzamin złożyli; 5 zwolniono dla dobrych prac piśmiennych od ustnego egzaminu, pomiędzy nimi jedynego Polaka, p. M. Augustyniaka z Kościana.

Opole. Teatr amatorski urządzony staraniem Towarzystwa polsko-katolickiego odbył się tutaj w zeszłą niedzielę. Odegrano z powodzeniem komedyjki: „Fatalna szafa“ oraz „Schlachta czynszowa czyli kłótnia o wiatr.“

Zmarli.

Ś. p. Stefan z Lubrańca hr. Dąmbski z Żakowa w Poznaniu w 54 roku życia.

S. p. Julianna z Barwickich Kryzan z Witaszyc w Poznańskiem w 76 roku życia, matka ks. Walentego Kryzana.

S. p. Maryanna Olszewska z domu Wyborska w Pieckach na Kujawach.

S. p. Emilia z Strahlerów Sobeska z Poznania, wdowa po dyrektorze sądu ś. p. Wiktorze Sobeskim, w Rakoniewicach.

S. p. Franciszka Fink, przeżywszy lat 88, w Poznaniu.

S. p. Wojciech Plewacki, weteran z roku 1831, 1848, ułan byłych wojsk polskich w 99 roku w Godziembie.

S. p. Jan Nepomucen Tundak, przeżywszy lat 25 w Poznaniu.

S. p. Jan Kaniewski, przeżywszy lat 57 w Poznaniu.

S. p. Marya Wiland z domu Gensler w Poznaniu, przeżywszy lat 51.

S. p. Władysław Borkowski w 52 roku życia w Gnieźnie.

S. p. Antoni Bloch w 72 roku życia w Witkowie.

S. p. Nowicki, rektor-emeryt w Wągrówcu, przeżywszy 83 lata.

Niech spoczywają w pokoju!

Od Redakcyi.

Naszym przyjaciołom za nadesłane numery „Pracy“, potrzebne nam do skompletowania kwartalnika serdecznie dziękujemy.

Panu hr. Eng. Serdecznie dziękujemy — zamieściliśmy w dzisiejszym numerze i prosimy bardzo o łaskawe współpracownictwo nadal.

Panu J. F. w Gnieznie. Nie otrzymaliśmy — z pewnością zaginął na poczcie. Za łaskawe popieranie „Pracy“ dziękujemy.

Imci księdzu B. w P. Co do „Biblii Wujka“ oddaliśmy tę sprawę do załatwienia księgarni W. Leitgebra w Ostrowie.

Panu Wacławowi C. w Poznaniu. Sprawa ta należy do działu inseratów.

Panu W. K. w Mysłowicach. Karty „Hekate“ będą dołączone do jednego z następnych numerów. O adresy prosimy.

Panu St. K. w Ostrowie. Prosimy o cierpliwość, gdyż wierszami jesteśmy formalnie zasypywani, które niestety! przeważnie wędrują do kosza.

Panu I. S. w Wągrówcu. Niestety! do kosza.

Panu Chł. w Kopaszycach. Nie moglibyśmy odcyfrować, nawet przez podwójne okulary.

Panu M. Laskowskiemu w Berlinie. Otrzymaliśmy — dziękujemy serdecznie.

Panu Fr. M. w Sremie. Manuskrypt zaginął.

Panu S. Wyrwie w Rosku. Był to błąd drukarski, który po wydrukowaniu kilkudziesięciu egzemplarzy, natychmiast sprostowaliśmy.

A. B. 100. Panu S. Jeżeli ktoś karanym jest o kradzież, o przechowywanie skradzionych rzeczy lub gry hazardowe (Diebstahl, Hehlerei und Hazardspiel) temu władza nie potrzebuje dać konsensu. Jeżeli zaś o inny występek (nie zbrodnię) jest ktoś karanym, może mu władza dać konsens.

Kalendarzyk historyczny.

17. 9. 1863. Zmarł w Dreźnie Józef Korzeniowski (ur. 1797).

21. 9. 1798. Zginął u bram Kairu Józef Sułkowski.

23. 9. 1793. Na sejmie grodzieńskim tak zwana sesya „niema“.

W pobliżu Poznania nadarza się od nierodaka czysto okazyjne kupno

Dóbr rycerskich

z wielką parową gorzelnią — 850 beczek kontingentu — z znaczną cegielnią, młynem, mleczarnią i t. d. **Areału 5000 mórg** incl. 1000 mórg lasu i 500 mórg znakomitych nawodnianych łąk, **ziemia przeważnie pszenna w starej wysokiej kulturze,** gospodarstwo renomowane i bardzo zasobne, rzadko śliczny inwentarz rasowy, a mianowicie ca. 200 sztuk bydła rogatego incl. 70 krów, 200 świn, 6 koni wierzchowych i 50 roboczych, 33 źrebców i t. d.

Siedziba wielkopańska — iście książęca.

Pałac okazały z wieżami, terasami i t. d. urządzony z największym komfortem — o 30 pokojach — leży uroczo nad jeziorem w prześlicznym, wielkim parku.

Budynki gospodarcze murowane jak forteca i we wielkim porządku. Bogate żniwo dotąd nienaruszone. Hipoteka uregulowana. ***Taksa landszaftowa wynosi ca. 950,000 M. Grundsteuerreinertrag ca. 14,000 M. Taksa ogniowa budynków czyni przeszło 400,000 M., mobilii ca. 350,000 M.***

Cena już ostateczna 1,150,000 M., zaliczki 300,000 M.

Jestto kupno czysto okazyjne, przedstawiające świetny interes.

Drwęski & Langner

Centralna Agentura Dóbr w Poznaniu.

Fligierski & Musielewicz

Poznań, św. Marcin Nr. 23 (w domu Wgo Hipolita Robińskiego).

Główny na poznański obwód rejencyjny

skład machin i narzędzi rolniczych

z powszechnie znanych zjednoczonych fabryk

Feliksa Hübnera w Lignicy 879

oraz wszelkich innych fabryk krajowych i zagranicznych.

Meble wyściełane. **Lustra.**

W. Nowakowski i Kirschke

mistrze stolarscy.

Magazyn mebli

ulica Butelska Nr. 12

(przystanek tramwajowy przy narożniku Wielkich Garbar)

polecają

887

wszelkiego rodzaju meble:

meble wyściełane, marmury, krzesła, pojedyńczo jako też całkowite wyprawy, od zupełnie pojedyńczych do najwykwintniejszych.

Ceny bardzo przystępne. — Skora i rzetelna usługa.

Marmury. **Krzesła.**

Nowe polskie przedsiębiorstwo!

Hurtowny i detaliczny

skład cygar, papierosów i tytuni

Tadeusza Karasińskiego

Poznań, św. Marcin 67

poleca prawdziwe rosyjskie tytonie i papierosy. — Jako specyalność własny wyrób li tylko z rosyjskich tytuni. Cygara z najlepszych źródeł po nader przystępnych cenach. Zapewnia się rzetelną i skorą usługę. 873

K. Suppert, Szwajcarskie zegarki i biżuterye. Poznań, św. Marcin 19 i róg ul. Rycerskiej nr. 33. Wielki skład wszelkiego rodzaju zegarków, łańcuszków, biżuteryi po znanych tanich cenach pod piśmienną gwarancyą. Każde szkiełko 20 fen. Budziki od 2 m. pocz. Regulatory od 12 mk. pocz. Zegarki kieszonk. od 7 m. pocz. Zakład reperac. Od wyczyszczenia zegarka cylindr. 1,50 mr. Nowa sprężyna 1,50 mk. Zawsze wielki wybór najnow. salonowych wiszących zegarków z orzechowego i dębowego drzewa. Potrzebny **uczeń.**

Szanowną Publiczność miasta Inowrocławia i okolicy mam zaszczyt zawiadomić, iż objąłem 849

handel towarów korzennych,

win, cygar i destylacyą

p. Hugona Ruscha w Inowrocławiu

przy ulicy Farnej nr. 5

i pod firmą moją

W. Kamieński

prowadzić go będę. — Prosząc o łaskawe poparcie, przyrzekam skorą i rzetelną usługę.

Z wysokim szacunkiem

W. Kamieński.

B. Sanin,

Poznań, ul. Kozia 17.

Specyalność:

Towary metalowe i aparaty do piwa

według prowincyonalnych przepisów policyjnych. Jaknajprostsze czyszczenie bez mozołu i kosztów. 863

Specyalność! Specyalność!

Warszawskie gilzy papierosowe

z watą hygieniczną od 1,30 m. za tysiąc poczt.

Prawdziwe tureckie tytunie

od 1,50 do 10 mr. za funt poleca 829

T. Lipczyński, Inowrocław.

Szanownej Publiczności mam zaszczyt donieść uprzejmie, że 837

skład towarów kolonialnych, owoców południowych, łakoci, cygar i t. d.

przy **ulicy Ogrodowej Nr. 11** położony na własność przejąłem.

Prosząc o łaskawe poparcie mego przedsiębiorstwa, zaręczam za skorą i rzetelną usługę przy cenach umiarkowanych. Z wysokim szacunkiem

Jakób Jaworski.

Poznań, w sierpniu 1899.

Piękne frontowe mieszkanie

w Poznaniu, ulica Ogrodowa nr. 3,

złożone z **3 pokoi, z kuchnią i pokoikiem dla służącej, z osobnym korytarzem, połączeniem gazowem i wygodami** jest za cenę 450 mk. na rok **do wynajęcia.** Wiadomość u gospodarza przy ul. Ogrodowej nr. 2 parter.

Smarowidło na wozy i oliwę do machin.

B. KOTKOWSKI

dawniej W. Niedbalski, Inowrocław, ul. Poznańska 79.

Skład towarów korzennych, win, cygar i destylacya

Wolny zajazd. Stajnie do wyprzęgu.

poleca

kawę, cukier, ryż, mąkę i wszelkie łakocie, tytunie i cygara, wina węgierskie, reńskie, mozelskie, czerwone francuzkie, portwein, madeirę, sherry, angielski porter i olej, araki, rumy, koniaki i rozmaite likwory na butelkach i na sądkach, wszelkie artykuły do prania i prasowania jako to: mydła, boraks, krochmal i t. d. 877

wszelkie artykuły do oświetlania,

jako to: petroleum, świece ołtarzowe i wszelkie inne gatunki świec, olej do palenia. Jako specyalność polecam codziennie świeżo palone kawy od 70 fen. do 1,80 mk. za funt. Herbaty i prószę herbaciane. — Usługa skora i rzetelna.

Miejsce na ogłoszenie zarezerwowane dla firmy:

Piasecki i Synowie w Poznaniu,

Ulica Jezuicka.

Fabryka mebli. 843

E. Kierski & J. Rychłowski

Poznań 3,

Przed Bramą Berlińską Nr. 16.

Telefon Nr. 578.

Interes spedycyjny, transportowy i komisowy.

Przyjmuje zamówienia na 880

przeprowadzki

miejscowe i zamiejscowe, końmi i koleją. Podejmuje się opakowania mebli, obrazów, szkła, porcelany i t. d.

Zielona Apteka

Edmunda Dzieżgowskiego

Poznań, ul. Wrocławska 31.

urządzona podług najnowszych wymagań, poleca **wszelkie środki zagraniczne i krajewe** oraz **artykuły chirurgiczne i gumowe** po cenach konkurencyjnych. Wysyłki franko odwrotnie; w miejscu w dom. 874

Fabryka wody selterskiej i limonad musujących.

$1^1/_2$ minuty od placu Piotra.

Ph. Mayfarth & Co.,

Poznań, ulica Św. Marcina nr. 50, przed bramą Berlińską 10,

polecają:

Mancy-Mariss'a kultiwatory i brony



zaopatrzone w cynkowe zęby, zastępujące kultiwatory.

Patentowane stalowe pługi NORMAL. 884

Pługi kulturalne (zagłębiacze), **brony, walce.**

Katalogi i prospekty bezpłatnie i franko.

Fabryka syropu

w Wronkach

poleca w najlepszych gatunkach

syrop kapilarny

do fabrykacyi karmelków, likworów i t. d.

syrop do jedzenia

i 841

mąkę kartoflaną.

Próbki na życzenia franko.

231

St. Brzeski,

Poznań, św. Marcin Nr. 64.

Warsztat elektro-mechaniczny.

Biuro instalacyjne

telefonów, światła i dzwonków elektrycznych, gromochronów i t. p.

Handel i fachowy warsztat welocypedów.

Gen. zastępstwo kołowców i automobili

„Falke.“



Założony 1845 r.

Najstarszy warsztat i skład obuwia w Poznaniu poleca:

Nowość! Buciki wynalazku Krügera, patentem opatrzone, **do wiązania** jednem pociągnięciem sznórówki otwierane zamykane, własnego wyrobu.

Nowość! Buciki Lawe'go z materyi przejrzystej (warsztacikowe) dotąd niebywałe i niesłychanie wygodne dla cierpiących na nogi.

Sudoral! z apteki Petersa w Dreznie bardzo skuteczny środek ku poceniu się nóg i innych części ciała, zawsze na składzie, fl. 1 Markę, przepis gratis.

Wszelkie zamówienia i reparacye wykonuję spiesznie i akuratnie. 160

Wielki wybór! ***Usługa rzetelna!***

K. MAY, Wilhelmowska ul. 21,

obok hotelu Rzymskiego.

Jedyne tylko najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna zegarków i bižuteryi. Fachowy dom wysyłkowy. Gwarancya 5 lat.

M. DANECKI,

Miejska Górka (Görchen Bez. Posen).



Zegarki srebrne mezkie cyl. klucz. lub rem. zł. brzeg., na 6 kam. po 9,50, 10,50, 11,80, 13,25 mk, a na 10 kam. po 10,60, 11,50, 12,60, 14,85 i 16,50, bardzo piękne z **Matką Boską** po 13,50, 14,60, 15,75, 16,20, 18,00, niklowe po 5,50, 6,50, 7,25 i 8,00 mk. Sreb. damskie po 10,20, 11,75, 12,50, 14,75. Łańcuszki po 25, 40, 50, 60, 75 i 90 fen., lepsze po 1,10, 1,25, 1,50, 1,85, 2,10 do 3 marek. W wielkim wyborze kolczyki, krzyżyki, broszki, pierścienie i czysto złote **ślubne obrączki** po 13,00, 14,00, 16,00, 18,00 mk, za parę i stosowne miary każdemu franko posyłam; a przesyłając miarę z powrotem, wystarczy podanie numeru i ceny. Za każdy zegarek daję **na 5 lat piśmienną gwarancyą.** Zamówienia i podziękowania ze wszech stron świata codziennie nadchodzą, dla tego, że każdy zegarek jest **dobrze obciągnięty** i na minutę **uregulowany.** Koniecznie trzeba się przekonać, a kto nie kupi sam sobie szkodzi. Zegarki moje można też nabyć ze składu p. **Romana Tilgnera w Pleszewie.** ***Cenniki wysyłam darmo i franko.*** 745

J. Lenartowski

w Inowrocławiu,

Toruńska ulica Nr. 5.

851 Poleca

obuwie gotowe i na miarę.

(12)

KODEKS CYWILNY

na polskie przełożył
W. ZIELIŃSKI, sekretarz sądu ziemiańskiego.

§ 399. Pretensyi nie można odstępować, jeżeli świadczenia czegoś innej osobie aniżeli pierwotnemu wierzycielowi nie można dokonać bez zmiany istoty świadczenia, albo jeżeli odstąpienie jest wykluczonem w drodze umowy z dłużnikiem.

§ 400. Pretensyi odstąpić nie można o ile ona nie podlega zajęciu.

§ 401. Na nowego wierzyciela przechodzą z odstąpioną pretensyą istniejące dla niej prawa hipoteczne albo prawa zastawu, jako też prawa wynikające z danego za nią poręczenia.

Nowy wierzyciel może także dochodzić prawa pierwszeństwa połączonego z pretensyą na przypadek egzekucyi albo konkursu.

§ 402. Dotychczasowy wierzyciel jest zobowiązany udzielić nowemu wierzycielowi informacyi do dochodzenia pretensyi potrzebnej i do wydawania mu dokumentów na udowodnienie pretensyi służących o ile je posiada.

§ 403. Dotychczasowy wierzyciel winien nowemu wierzycielowi na żądanie wystawić publicznie uwierzytelniony, odstąpienia dowodzący, dokument. Koszta winien ponosić i zaliczać nowy wierzyciel.

§ 404. Dłużnik może przeciwstawiać nowemu wierzycielowi te wybiegi, które w czasie odstąpienia pretensyi były uzasadnione wobec dotychczasowego wierzyciela.

§ 405. Jeżeli dłużnik wystawił na dług dokument, to nie może on, jeżeli pretensyę z przedłożeniem dokumentu się odstępuje, wobec nowego wierzyciela na to się odwoływać, że zawarcie albo przyznanie stósunku obligacyjnego odbyło się tylko dla oka, albo że odstąpienie w drodze umowy z pierwotnym wierzycielem wykluczono, chyba że nowy wierzyciel przy odstępowaniu znał stan rzeczy albo go znać musiał.

§ 406. Dłużnik może pretensyę jaką ma do dotychczasowego wierzyciela także wobec nowego wierzyciela skompenzować, chyba że nabywając tę pretensyę wiedział o jej odstąpieniu, albo że pretensya dopiero po powzięciu wiadomości i później aniżeli odstąpiona pretensya stała się płatną.

§ 407. Nowy wierzyciel musi to, co dłużnik po odstąpieniu dotychczasowemu wierzycielowi świadczy, jakoteż każdą czynność prawną, którą po odstąpieniu między dłużnikiem a dotychczasowym wierzycielem ze względu na ową pretensyę się przedsiębierze, uznać jako siebie obowiązujące, chyba że dłużnik przy uiszczaniu albo podejmowaniu czynności prawnej, wie o odstąpieniu.

Jeżeli w procesie po odstąpieniu pomiędzy dłużnikiem a dotychczasowym wierzycielem uwisłym, zapadł co do pretensyi wyrok prawomocny, to nowy wierzyciel musi uznać wyrok jako siebie obowiązujący, chyba że dłużnik przy rozpoczęciu uwisłości wiedział o odstąpieniu.

§ 408. Jeżeli dotychczasowy wierzyciel jakąś odstąpioną pretensyę ponownie odstępuje osobie trzeciej a dłużnik osobie trzeciej się uiszcza, albo jeżeli pomiędzy dłużnikiem a osobą trzecią przedsiębierze się jakąś czynność prawną lub sprawę przed sądem wytoczono, nateczas zastósowuje się odpowiednio wobec dawniejszego nabywcy, przepisy w § 407, na korzyść dłużnika.

To samo obowięzuje wtenczas, jeżeli odstąpioną już pretensyę przekazuje się osobie trzeciej w drodze uchwały sądowej, albo jeżeli dotychczasowy wierzyciel wobec trzeciej osoby przyznaje, że odstąpiona już pretensya na mocy prawa na trzecią osobę przeszła.

§ 409. Jeżeli wierzyciel doniesie dłużnikowi, że pretensyę odstąpił, to musi on w stósunku do dłużnika uznać doniesienie o odstąpieniu jako siebie obowięzujące, chociażby ono odstąpienie wcale nie nastąpiło albo nie było ważnem. Jeżeli wierzyciel w dowód odstąpienia wystawił dokument nowemu w dokumencie oznaczonemu wierzycielowi a ten ów dokument dłużnikowi przedłoży, to takie przedłożenie znaczy tyle co doniesienie.

Doniesienie można cofnąć tylko za przyzwoleniem tego, kogo jako nowego wierzyciela oznaczono.

§ 410. Dłużnik jest wobec nowego wierzyciela zobowiązanym do uiszczania tylko za wydaniem dokumentu, który dotychczasowy wierzyciel na dowód odstąpienia wystawił. Wypowiedzenie lub upominanie ze strony nowego wierzyciela jest nieważnem, jeżeli je się uskutecznia bez przedłożenia takiego dokumentu a dłużnik z tego powodu bezzwłocznie je odrzuci.

Powyższych przepisów nie zastósowuje się, jeżeli dotychczasowy wierzyciel dłużnika o odstąpieniu piśmiennie powiadomi.

§ 411. Jeżeli osoba wojskowa, urzędnik, duchowny albo nauczyciel przy publicznym zakładzie naukowym, odstępują przelewalną część pensyi, poczekalnego albo emerytury, to należy kasę wypłacającą o odstąpieniu zawiadomić przez doręczenie jej przez dotychczasowego wierzyciela wystawionego publicznie uwierzytelnionego dokumentu. Aż do powiadomienia uchodzi odstąpienie, jako kasie nieznane.

§ 412. Do odstąpienia pretensyi na mocy prawa zastósowuje się odpowiednio przepisy §§ 399 aż do 404, 406 aż do 410 objęte.

§ 413. Przepisy o przelewaniu pretensyi stanowiące zastósowuje się odpowiednio do przelewania innych praw, jeżeli ustawa nic innego nie przepisuje.

TYTUŁ PIĄTY.
Przejmowanie długu.

§ 414. Dług jakiś może trzecia osoba przejąć w drodze kontraktu z wierzycielem w ten sposób, że osoba trzecia wstępuje w miejsce dotychczasowego wierzyciela.

§ 415. Jeżeli osoba trzecia układa się z dłużnikiem o przejęcie długu, to ważność przejęcia zależy od zezwolenia wierzyciela. Zezwolenie może dopiero wtenczas nastąpić, jeżeli dłużnik albo osoba trzecia wierzyciela o przyjęciu długu powiadomili. Strony mogą kontrakt zmienić albo znieść aż do chwili zezwolenia.

Jeżeli zezwolenia odmówiono, to uważa się przejęcie długu jako niedokonane. Jeżeli dłużnik albo osoba trzecia zawezwie wierzyciela przy wyznaczeniu kresu do oświadczenia się względem zezwolenia, to zezwolenie może być oświadczonem tylko do upływu kresu; jeżeli się zezwolenia nie oświadczy, to uważa je się jako odmówione.

Dopóki wierzyciel zezwolenia nie udzielił, to jest osoba dług przejmująca, w razie wątpliwości, dłużnikowi zobowiązaną do zaspokojenia wierzyciela we właściwym czasie. To samo obowięzuje, jeżeli wierzyciel zezwolenia odmówi.

§ 416. Jeżeli nabywca jakiejś nieruchomości przejmuje w drodze kontraktu ze sprzedającym dług sprzedającego, na który istnieje hipoteka na tejże nieruchomości, to wierzyciel może zezwolić na przejęcie długu tylko wtenczas, jeżeli sprzedający mu o niem doniesie.

Gdyby od odebrania wiadomości sześć miesięcy upłynęło, to uważa się zezwolenie za udzielone, jeżeli go wierzyciel sprzedającemu już przedtem nie odmówił; przepisu w § 415 ustęp 2, zdanie 2 nie zastósowuje się w tym przypadku.

Powiadomienie ze strony sprzedającego może dopiero wtenczas nastąpić, jeżeli nabywcę do księgi gruntowej jako właściciela zapisano. Powiadomienie musi być uskutecznionem na piśmie i musi zawierać zwrócenie uwagi na to, że osoba dług przejmująca wstępuje w miejsce dotychcza-

Niniejszy kodeks cywilny wyjdzie w osobnej książce i razem z niemieckim tekstem będzie kosztował 2 marki. Już teraz można zapisywać to książkowe wydanie **w księgarni „Katolika“ w Bytomiu.**

Do odcięcia!

sowego dłużnika, jeżeli wierzyciel w przeciągu sześciu miesięcy odmowy swej nie oświadczy.

Sprzedający winien na żądanie nabywcy zawiadomić wierzyciela o przejęciu długu. Skoro udzielenie albo odmówienie zezwolenia jest stale postanowionem, to winien sprzedający zawiadomić nabywcę.

§ 417. Przejmujący może wierzycielowi przeciwstawić te wybiegi, które wynikają z prawnego stósunku pomiędzy wierzycielem a dotychczasowym dłużnikiem. Pretensyi dotychczasowemu dłużnikowi przysługującej skompensować mu nie wolno.

Ze stósunku prawnego podstawę przejęcia długu stanowiącego a pomiędzy przejmującym a dotychczasowym dłużnikiem zachodzącego, nie może przejmujący wywodzić wybiegów przeciw wierzycielowi.

§ 418. Wskutek przejęcia długu upadają stawione co do pretensyi rękojmie i prawa zastawu. Jeżeli na pretensyę istnieje hipoteka, to zachodzą te same następstwa jak wtenczas, gdy wierzyciel hipoteki się zrzeka. Przepisy powyższe ustępują, jeżeli ręczyciel albo ten, do kogo przedmiot za dług odpowiadający podczas przejęcia długu należy, na przejęcie się zgodzi.

Prawa pierwszeństwa z pretensyą na przypadek konkursu połączonego, nie można dochodzić w konkursie nad majątkiem osoby przejmującej.

§ 419. Jeżeli ktoś obejmuje w drodze kontraktu majątek osoby drugiej, to wierzyciele jego mogą od chwili zawarcia kontraktu bez naruszenia trwającej nadal odpowiedzialności dotychczasowego dłużnika, dochodzić swych w tym czasie istniejących pretensyi na osobie przejmującej.

Odpowiedzialność przejmującej osoby ogranicza się do wysokości objętego majątku i do pretensyi z kontraktu jej przysługujących. Jeżeli obejmujący odwołuje się na to, że odpowiedzialność jego jest ograniczoną, to zastósowuje się odpowiednio przepisy §§ 1990, 1991 o odpowiedzialności spadkobiercy opiewające.

Odpowiedzialności obejmującego nie można wykluczać albo ograniczać w drodze układu pomiędzy nim a dotychczasowym dłużnikiem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Większa ilość dłużników i wierzycieli.

§ 420. Jeżeli więcej osób jest dłużnych jakąś podzielną prestacyę, albo jeżeli więcej osób ma podzielną prestacyę do żądania, to w razie wątpliwości jest każdy dłużnik tylko po równej części zobowiązanym, każdy wierzyciel tylko po równej części uprawnionym.

§ 421. Jeżeli więcej osób jest dłużnych jakąś pretensyę w ten sposób, że każda z nich jest zobowiązaną do uiszczenia całej prestacyi, wierzyciel zaś tylko raz ją ma do żądania (solidarni dłużnicy), natenczas może wierzyciel według upodobania żądać od każdego z dłużników uiszczenia całej sumy albo też tylko pewnej części. Wszyscy dłużnicy pozostają zobowiązani aż do zupełnego uiszczenia.

§ 422. Spełnienie zobowiązań przez jednego z dłużników solidarnych, oddziazuje na korzyść reszty dłużników. To samo odnosi się do prestacyi danej w miejsce spełnienia zobowiązań do depozycyi i kompenzacyi.

Pretensyi, która się należy jednemu ze solidarnych dłużników, nie mogą skompenzować drudzy dłużnicy.

§ 423. Darowanie długu pomiędzy wierzycielem a jednym ze solidarnych dłużników umówione, oddziałuje także na korzyść reszty dłużników, jeżeli umawiające się strony chciały znieść cały stósunek obligacyjny.

§ 424. Zwłoka wierzyciela wobec jednego z dłużników solidarnych, oddziałuje także na korzyść reszty dłużników.

§ 425. Inne, aniżeli w §§ 422 aż do 424 wyszczególnione fakta oddziałują o ile nic innego ze stósunku obligacyjnego nie wynika, tylko na korzyść tego dłużnika solidarnego i przeciw temu dłużnikowi solidarnemu, w którego osobie one zachodzą.

W szczególności odnosi się to do wypowiadania zwłoki, przewinienia, niemożliwości spełnienia, zachodzącej w osobie jednego z dłużników solidarnych do przedawnienia, jego przerwy i tamowania, do zlewania się pretensyi z długiem i do wyroku prawomocnego.

§ 426. Dłużnicy solidarni są w stósunku do siebie w równych udziałach zobowiązani, jeżeli nic innego nie postanowiono. Jeżeli od jednego z dłużników solidarnych nie można otrzymać składki nań przypadającej, to niedobór winni ponosić drudzy dłużnicy do wyrównania zobowiązani.

O ile jeden z dłużników solidarnych wierzyciela zaspokoi i może się domagać wyrównania od reszty dłużników o tyle przechodzi na niego pretensya wierzyciela do reszty dłużników. Przejścia pretensyi nie można użyć na szkodę wierzyciela.

§ 427. Jeżeli więcej osób wspólnie się zobowiąże kontraktem do jakiegoś podzielnego świadczenia, natenczas odpowiadają one w razie wątpliwości, jako dłużnicy solidarni.

§ 428. Jeżeli jest więcej osób do żądania jakiejś prestacyi w ten sposób uprawnionych, że każda z nich może żądać całej powinności, dłużnik zaś jest zobowiązanym prestacyę raz tylko uiścić (solidarni wierzyciele), to dłużnik może według upodobania uiścić się każdemu z wierzycieli. Przepis ten obowięzuje także wtenczas, jeżeli jeden z wierzycieli wniósł skargę o uiszczenie.

§ 429. Zwłoka jednego ze solidarnych wierzycieli oddziałuje także przeciw reszcie wierzycieli.

Jeżeli pretensya i dług zlewają się w osobie jednego z wierzycieli solidarnych, wówczas upadają prawa reszty wierzycieli przeciw dłużnikowi.

Zresztą zastósowuje się odpowiednio przepisy §§ 422, 423, 425. W szczególności pozostają prawa drugich wierzycieli nie naruszone, jeżeli jeden ze solidarnych wierzycieli przeleje swą pretensyę na innego.

§ 430. Wierzyciele solidarni są w stósunku do siebie w równych udziałach uprawnieni, o ile nic innego nie postanowiono.

§ 431. Jeżeli jest więcej osób dłużnych jakąś prestacyę niepodzielną, to odpowiadają one jako dłużnicy solidarni.

§ 432. Jeżeli więcej osób ma do żądania jakąś niepodzielną pretensyę, to dłużnik, jeżeli one nie są solidarnymi wierzycielami, może się uiszczać tylko wszystkim wspólnie, każdy zaś wierzyciel może tylko żądać uiszczenia dla wszystkich. Każdy z wierzycieli może żądać, aby dłużnik rzecz dłużną dla wszystkich zdeponował, albo jeżeli ona do depozycyi się nie nadaje, do sądownie ustanowić się mającego zachowawcy oddał.

Zresztą nie oddziałuje fakt jakiś, zachodzący tylko w osobie jednego z wierzycieli, ani na korzyść ani przeciw reszcie wierzycieli.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Poszczególne stósunki obligacyjne.

TYTUŁ PIERWSZY.

Kupno. Zamiana.

I. Przepisy ogólne.

§ 433. Przez kontrak kupna zobowiązuje się sprzedawca jakiejś rzeczy do oddania tej rzeczy kupującemu i do postarania się o jej własność dla niego. Sprzedawca jakiegoś prawa jest zobowiązanym do postarania się o to prawo dla nabywcy, i jeżeli to prawo upoważnia do posiadania jakiejś rzeczy, do oddania mu tej rzeczy.

(Dalszy ciąg nastąpi).